

0000000 0000000

50
90

**PAMIETNIKI
UMYSLOWE**

Wydawca

JAN ZE SŁIWINA.

TOM II.

WILNO

⊙ Nakład i druk T. Glücksberga.

1843.

PAMIĘTNIKI
6

UMYSŁOWE.

II.

UNIVERSITY OF WISCONSIN
LIBRARY
SERIES
UNIVERSITY OF WISCONSIN



P. 1501

PAMIĘTNIKI

UMYSŁOWE.

ZAWIERAJĄCE

1. Życiorys Izabelli Górskiej.
2. Fabrykant.
3. Marzenia i Rzeczywistość.
4. Powieści Małorossyjskie Kuleszy.
5. Coś z moich wspomnień.

WYDAWCA JAN ZE SŁIWINA.

Tom Drugi.

WILNO.

NAKLAD I DRUK T. GLÜCKSBERGA.
KSIEGARZA I TYPOGRAFA SZKÓŁ BIAŁ. NAUK, ONK.

1845.



Pozwolono drukować pod warunk
złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem
przepisanych w Komitecie Cenzury.

Wilno, 1845 roku dnia 13 Października.

*Sprawujący obowiązek Cenzora,
Kolleg. Assesor i Kawaler.*

A. MUCHIN.

IZABELLA GÓRSKA.

Póki rozumiano, iż aktor obejść się może bez nauki i teorji, póty też trwały uprzedzenia społeczne przeciw całemu stanowi temu; lecz od czasu gdy poznano, iż do sztuki scenicznej, tak jak do każdej innej sztuki, potrzeba nie tylko daru naturalnego ale i nauki i ukształcenia, od tego też czasu sztukę sceniczną nazwano istotnie sztuką, a aktorom jako wykonawcom sztuki téj, przyznano godność Artystów, a przyznano im ją w nowych czasach, co dowodzi oświaty i cywilizacji, wieku naszego.

(D. L.) *Józef Kremer.*



Poeta, Malarz, Muzyk, Szytacz,
Aktor, jeżeli tylko posiadają prawdziwy talent, a z nim łączą niezmiernie usiłowania doskonalenia się,

Pam. Umysł. T. II.

I

wszyscy równie zasługują na cześć i wdzięczność. — Chociaż sztuka dramatyczna u wszystkich oświeconych ludów ma poważanie równie z drugimi pięknymi sztukami, jednak i dziś jeszcze, a osobliwie u nas, wielu jest takich, co nie chcą przypuścić żeby aktor był uważanym na równi z innymi Artystami i odbierał za swą pracę taką nagrodę jak Poeta, Malarz i t. p. Żeby się zbliżyć do doskonałości, każda piękna sztuka wymaga talentu i gustu. Każda, wymaga wielkiego poświęcenia się, ciągłej, nieustannej pracy, każda połączona z tysiącami przeszkodami, które zdają się dążyć do zniszczenia twórczej siły przebijającej się w dziełach Poety, Artysty. — Życie tych posłańców nieba jest ciągłą walką z nieszczęściem a często i samą nędzą. — Nie jeden z wielkich Poetow lub Artystów umarł z głodu lub walcząc przez całe życie z zazdrością

i niezliczonemi pociskami losu i ludzi, umierał w szpitalu. Uważając pod tym względem, musimy przyznać, że w dramatycznej sztuce jeszcze, mniej doczesnych korzyści, niżeli w innych sztukach. — I w rzeczy samej jaka i gdzie prawdziwa nagroda dramatycznego Artysty? Gdzie cel pracy jego? Gdzie twory i dzieła, któreby mówiły za niego po śmierci i przeniosły imię do najodleglejszych czasów? Ma się rozumieć, mówimy tylko o talentach prawdziwych, których głośne, lecz chwilowe oklaski, a tém bardziej inne doczesne korzyści przy życiu, nie zadowolniają, nie mogą nasycić duszy chciwej sławy, pałającej żądzą żyć po śmierci w swoich tworach. — Poeta, Malarz, Muzyk, Szy-cerz, umierając zostawują pomniki swojego geniuszu, które z czasem będą mówiły za nich, ożywią ich sławę, wskrzeszą w pamięci ludzkiej ich imio-

na. Coż i kto będzie mówił za biednego Aktora, kiedy wspomnienie o nim zaginie, kiedy ludzie, których on zachwycił i podziwiał swojemi zdolnościami, poumierają?..... Rzućmy jeszcze okiem na aktora z drugiej strony. — Każdy inny Artysta, lub Pisarz, przy życiu nie ma potrzeby oddawać siebie na sąd społecznych, często stronny, przesądny, połączony z zazdrością a nawet nienawiścią. Może ukryć swoje nazwisko połączyć się z tłumem i wspólnie oglądać, sądzić swój utwór, pochwały zapalają jego serce, niesłuszne poniewieranie jego pracy nie tyle jest dotkliwem; pod maską, niewiadomy, on może z tysiąca zdań sformować jedno, pewne i zastosować się do niego. — A biedny Aktor? — On siebie samego, swoją osobę oddaje na sąd widzów, siebie, jako utwór swojej sztuki, a ta sztuka musi być podległą gustowi, często bezzasadnemu.

Często musi wyrzec się własnego zdania i iść za utworem poety, który stworzył dla niego bohatera; musi patrzeć na zabójczy chłód i obojętność publiczności dla gry swojej wówczas, kiedy to bywa skutkiem nieuwagi lub omyłki autora. — Wystawiony na sąd widzów, różnych zdań, pojęć, życzeń, różnych klas, różnego stopnia oświecenia. Każdemu musi choćby mniej więcej dogodzić, do każdego gustu zastosować się, wszystkich namiętności połączyć w sobie, a inaczej, srogi sędzia nie zważając na nic, dumny, że pieniądz dozwolił mu być sędzią, nie szczędzi biédnego Artystę, krzywdzi go w oczy, sarka, albo zabija samą obojętnością, milczeniem.... a później, czegoż to nie posłyszysz, czegoż nie przeczytasz o grze swojej! U nas nawet, gdzie tak mało prawdziwych talentów, a jeszcze mniej takich, co mieliby prawo sądzić i krytykować, jakże często z boleścią dają

się słyszeć zdania bez wszelkiej zasady, pojęcia, znajomości sztuki i to jeszcze wyrzeczone głośno, z zabójczym śmiechem i do tego w miejscach najważniejszych, kiedy aktor przyzywa całą moc swęj duszy i talentu, w chwili, kiedy on stara się przelać w publiczność swoje uczucia, stara się żeby widzowie zlali się i podzielali z nim te uczucia, w takiej powiadam ważnej chwili, o jego uszy obija się szyderczy śmiech, lub bezczelne, nierozważne słowa. I coż dziwnego, że często utwór Artysty w najważniejszych miejscach gaśnie, blednieje.... Lecz nawet przypuścmy, że Artysta przez swój talent i pracę doszedł do szczybla wziętości, że publiczność, jest dla niego zawsze przychylną, że codziennie osypuje go oklaskami, coż zostaje po ukończeniu widowiska?— owoce pracy jego już prawie nikną, zostaje jeszcze choć na krótki czas wspom-

nienie o przyjemnych uczuciach które wzbudził w duszy, a jednak ich nie mogą podzielać ci, którzy nie byli świadkami jego tryumfu; a po śmierci gdzież są jego utwory, na które przyszłe pokolenia mogłyby patrzeć i podziwiać jego talent? Coż zostawi on prócz imienia? —

Tak, praca Artysty dramatycznego jest ciężką i niewdzięczną. — I czy prawdziwy Artysta, nie wyrobnik, ale zamilowany w swęj sztuce może znaleźć przyjemne chwile w swém życiu; a szczęśliwym mógłby być tylko wówczas, gdyby go zadowolniały chwilowe uniesienia publiczności, gdyby w nagrodę za pracę, mogły mu posłużyć oklaski, często dawane od kaprysu byle komu i byle za co. — Ale człowiek genialny, człowiek z wielką duszą, czyż może być tym zadowolniony? O, te błahe roskosze nie dla tych, którzy łakomi sławy, którzy pragną żyć po

śmierci swojemi utworami, pragną dzie-
lić swe uczucia i myśli nie z jednym po-
koleniem, nie z jednym wiekiem!

Jeżeli więc dramatyczny artysta
lub artystka poświęci całe życie swo-
je sztuce, jeżeli zwalczy, pokona
wszystkie trudności połączone z jego
pracą i jeżeli jedynie z zamiłowania
do swjej sztuki zapomni o wynagrodze-
niu, jeżeli dla niego jedynem szczę-
ściem jest myśl, że o ile można do-
szedł do doskonałości w swoim za-
wodzie, czyż taki powiadam człowiek,
nie zasługuje na imię prawdziwego
Artysty, czyż nie zasługuje na sławę
i wdzięczność naszą? czyż nie jest na-
szym obowiązkiem imiona takich ludzi
zachować od zupełnego zapomnienia?

Nikt mi nie może zaprzeczyć, że
taką właśnie była i na taką właśnie
zasługuje cześć, przed kilką laty zmar-
ła Artystka dramatyczna Teatru wileń-
skiego, *Izabella Górską*. — Pamięć jej

jest dla nas wszystkich drogą, zachować pamiątkę o jej życiu i pracach jest naszym obowiązkiem. — Sądźmy więc za rzecz najsluszniejszą umieścić o niej tu kilka zebranych szczegółów. 1)

Izabella Górska urodziła się w Wilnie około roku 1793. Pochodząc ze szlachet-

(1) Za te szczegóły o życiu Izabelli Górskiej obowiązani jesteśmy Panu Józefowi Rogowskiemu, żywej kronice Teatru wileńskiego. Już właśnie jego życie, przeszło przez pół wieku przepędzone na scenie, już prace i pamiątki które zbierał od samego wstąpienia do zawodu dramatycznego, mogą posłużyć za najpiękniejsze i jedyne u nas Materiały do Historyi Teatru wileńskiego. Kolega wskrzesiciela sceny polskiej, Bogusławskiego, Leduchowkiej, Werowskiego, (którego pierwszy wprowadził na scenę), który przeżył 65 Artystów i 23 Artystki, wszystko i o wszystkich zachował świeżo w pamięci już o ich życiu, już o wypadkach samego Teatru.

(Autor.)

nych rodziców, wiek swój dziecinny spędziła przy nich.

W jesieni 1803 roku przybyła do Wilna kompanja baletników, złożona z Pana Monaretti (Włocha), żony jego i Pana Deybell. (1) Te nie liczne towarzystwo, przybyło z Warszawy w celu bawienia wileńskiej publiczności baletami, prawie tu nieznanemi. Pan Monaretti do składu swojego baletu potrzebował panien i mężczyzn. Artysta dramatyczny ówczesny Malinowski, przyjaciel rodziców Górskiej, podał projekt Panu Monaretti użyć do baletu w pomniejszych rolach małą Iza-

(1) Pau Deybell od tego czasu nie opuścił Wilna; w kilka lat potem założył pensję panien, którą utrzymywał przez wiele lat w Wilnie a później w Wiłkomięrz, gdzie umarł przed dwóma laty. — Córka jego panna Anna Ksawera Deybell znaną jest jako niepospolita śpiewaczka i bawi teraz w Paryżu.

(Autor.)

bellę. — Jój miluchna i ładniutka twarzyczka, dobre ułożenie, zniewoliły pana Monaretti do uskutecznienia tego projektu. — Natychmiast zaczęto ją kształcić w sztuce baletniczej i w zimie tegoż roku 10-letnia Izabella wystąpiła na scenę jako baletniczka w pomniejszych rolach, przez całą zimę aż do samego wyjazdu Pana Monaretti nie opuszczała jego Towarzystwa, znacznie skorzystała z jego lekcji, nabrała pewnej gracji, dobrego ułożenia, które odznaczały ją przez całe życie. — Są ludzie, których nie przeznaczenie, lub wybor rodziców zmuszają tylko wstąpić do artystycznego zawodu, ale chęć wrodzona, chęć, która niewiedomie tkwi w człowieku od samego dzieciństwa i którą trzeba tylko podsycić, rozwinąć. — Tak było i z Górską. Występy jej w zimie roku 1803 jako baletniczki zrobiły na nią wielkie wrażenie. — Młodziutka Artyst-

ka odgadła swoje przeznaczenie i chęć zostania Artystką na zawsze głęboko utkwiała w jej umyśle. — Ale pan Monaretti po nadzwyczajném powodzeniu i uniesieniu Publiczności, które sprawiły szalone jego powietrzne tańce *grotesco*, wyjechał i Izabella Górska powróciła na łono rodziny. — Wkrótce oddano ją na pensję *P. Goldstein*, tam wydoskonaliła się w językach francuzkim, niemieckim, Muzyce i w innych naukach. — W miarę rozwijania się przyrodzonych zdolności, wzrastała i chęć jej do scenicznego zawodu, lecz długo nie było okoliczności, która by spełniła jej upragnione życzenia.

Po ukończeniu pensji, znowu pozostała nieczynną przy rodzicach. — Czytanie ksiąg, Muzyka, były jej rozrywką po pracach domowych. Lata płynęły, młodość rozkwitła, a z nią wszystkie zwodnicze nadzieje, marzenia, uludy. — Czas nie tylko że nie po-

hamował żądzy wystąpienia na scenę, ale owszem ta chęć wzrastała wraz z laty. Znajdując się ciągle prawie między Artystami, bywając zawsze w Teatrze, coż dziwnego że nie mogła rozstać się z dziecinnymi marzeniami, które nakoniec zamieniły się w stałą wolę. Tenże sam Malinowski, który wprowadził ją do baletu w kompanji Monarettego, namówił rodziców żeby oddali ją na scenę. — Jednak ten sam Malinowski i inni Artyści nie postrzegali w niej ani talentu ani mogli mieć nadzieję, że wkrótce zostanie taką Artystką, jaką się okazała. Było to raczej aktorskie wyrachowanie. — Izabella Górską była młodą, ładną, najlepiej ułożoną, z dobrem wychowaniem. Chciano więc korzystać z tych przymiotów, a widząc że publiczność zawsze pragnie nowości, z przyjemnością widzi na scenie młodą, przystojną Artystkę i dla tych przymiotów ra-

da czasami przebaczyć nawet brak talentu, spodziewano się że wprowadzając na scenę Górską, będą mieli kilka licznych widowisk. — Tém bardziej jeszcze, że właśnie wówczas pan Malinowski grał swój benefis. Dnia 16 Września 1815 roku czerwone afisze ogłosiły, że będzie graną na dochód P. Malinowskiego Komedja z niemieckiego przełożona p. t. *Benon, Burczymucha* i że Izabella Górską wystąpi po raz pierwszy na scenę. — Nadzieje spekulantów bynajmniej nie zawiodły; publiczność zebrała się licznie. Sztuka miała powodzenie; debiutantkę pokrywano ciągłemi oklaskami, jej młodość i wdzięki wszystkich zniewoliły. Po ukończeniu przywołano ją, zażądano powtórzenia sztuki i proszono żeby panna Górską wstąpiła na scenę zupełnie. Tak piękne przyjęcie jeszcze bardziej przychyliło na jej stronę aktorów, a w niej samej wzmocniło dawne życze-

nia. Nie była to jednak z rządu tych młodych Artystek, których oklaski i uniesienia publiczności wprawiają w dumę. Znała ona swoją nieudolność, wiedziała że te wszystkie oklaski były pobrażaniem, albo nagrodą za dary natury, któremi hojnie była obdarzoną. Wiedziała, że gdyby dojść do doskonałości i samą grą zasłużyć na te oklaski, trzeba wiele czasu, wiele pracy. — I zaczęła pracować z prawdziwem zamiłowaniem, z prawdziwym młodzieńczym zapalem. Marzenia dziecinne ziściły się; pierwszy krok na wielką drogę życia zrobiony. Trzeba było tylko zaślubić pracę, wytrwałość, moc duszy. — Kiedy po raz pierwszy wyszła na scenę, kiedy jeszcze przed odkryciem kurtyny, przez odwieczny w niej maleńki otwór spojrziała na fale publiczności, które zalewały cały Teatr, mimo woli strach ją przejął i lzy stanęły w oczach. — I

w rzeczy samej, chwila ta stanowcza, okropna! Młoda, niedoświadczona, rzuca siebie w odmęt teatralny, zamierza poświęcić całe życie usługom publiczności, zależeć od jej kaprysów, dogadzać jej żądaniom. Całe życie być w obawie. Wszystko to przedstawiło się jej myśli ale tylko na chwilę. Trzeba było stanąć na pierwszej desce przyszelego zawodu. Już z mniejszą obawą i lepszą grą wystąpiła w tejże samej sztuce — 30 tegoż miesiąca. Znowu teatr był przepelniony, znowu przywołana, okryta oklaskami. Od tego czasu została stałą Artystką Teatru wileńskiego. Lata od 1815 do 1818 upłynęły na ciągłej, niezmordowanej pracy; jednak wszystkie usiłowania spełzały na niczem; zapal publiczności po pierwszych *debiutach* przeszedł, zaczęto zwracać uwagę już nie na powierzchowność ale na grę, a tu jeszcze wiele pozostawało do życzenia. — Zaj-

mając pomniejsze role, nie mając wzorów, wrodzony swój talent nie mogła jakby chciała rozwinąć. W roku 1818 nastąpiła ważna zmiana w jej życiu, uczuciach, a nawet w położeniu. W tym roku przybyła do Wilna sławna Artystka warszawska Pani Ledóchowska i 14. Lipca pierwszy raz wystąpiła na Scenie wileńskiej w tragedji Szekspira *Makbet*. Owczesny skład Towarzystwa dramatycznego był następujący — Artystki: *Kuczyńska, Szymkajtowa, Górską, Hrehorowiczowa*, z córką *Panna Pacewiczówna*, (dzisiejsza *Mejerowa*, znana śpiewaczka). Artysci: *Rogowski, Anczyc, Fiszer, Shibiński, Stathowski, Kuczyński, Szymkajło, Malinowski, Zaleski, Kamiński, Żyliński, Broński, Sznerbachowski, Popowski, Kołakowski* i inni. Pani Ledóchowska sprawiała niezmiernie *furore*. — Teatr zawsze bywał przepełniony, za ledwie dowiedziano się o przybyciu znakomitej Artystki, a już

wszystkie łoże zaambonowano na 20 widowisk.— Wszystko zdawało się oddychać samą tylko Ledóchowską. Sławna Mistrzyni zajmując najpierwsze role, nie pogardzała i pomniejszych; 3 Listopada grano Komedję Pikarda p. t. *Wice-Brygadjer Szczerzecki* i Komedjo Operę *Płaksa i Wesotowski*. Pani Ledóchowska w Komedji grała Panią Pięknickę, a w Komedjo Operze Panią Płaksinę. Ta sława, ten szmer pochlebny otaczający ją — sprawiły wielkie wrażenie na naszej Górskiej. Już ona nie mogła narzekać, że nie ma wzoru; pojęła teraz, co to jest prawdziwa Artystka, co to jest wielki talent. Naśladować ją, starać się z czasem jej wyrównać, oto były myśli, które całkiem zajęły młodą Górską — śledząc najuważniej każde poruszenie, gest, każdy wyraz, samapowoli przejmowała się jej grą, zaczęła lepiej pojmować swoje role i kształcać się nieznaczą-

nie pod okiem tej mistrzyni, słuchając jej uwag i rad w przeciągu jednego roku tak się wydoskonalila, że mogła zająć chlubnie daleko wyższe role, a nizeli dotychczas zajmowała. Lecz nic o tém nie wiedzieli ją otaczający, nikt niechciał spostrzedz w niej zmiany.— Sama czula wewnętrzną swą wartość, ale nie śmiała jeszcze domagać się wyższości, może chciała żeby ludzie sami odgadli jej talent. Ledóchowska wyjechała, zostawując po sobie tyle miłych wspomnień, a nasza Górska zawsze jeszcze należała do szarego końca Aktorów. Cierpiała ona na tém, ale milczała.

Tak się miały rzeczy aż do Maja 1819 roku. Rogowski pierwszy spostrzegł jej przekształcenie i postanowił z tego korzystać—8 Maja grał on na swój benefis wielki historyczny Dramat z niemieckiego przez P. Kotzebue p. t. *Hrabia Beniowski*.

Sztuka ta graną była po raz pierwszy; benefisant nie oszczędzał kosztów na wystawę — porobiono nowe dekoracje, wyobrażające okolice kamszatskie, chaty, góry, pola i drzewa pokryte śniegiem; ale najlepszem upiększeniem tej sztuki miała być Panna Górską, której benefisant przeznaczył główną ważną rolę Afanazji Córki Gubernatora kamszatskiego. Pierwsza próba przekonała, że nadzieje P. Rogowskiego były niepłonne; wszyscy byli zdziwieni jej grą. P. Każyński, ówczesny Dyrektor teatru przy wszystkich ją chwalił i winszował. Ta rola, ten spektakl były fundamentem jej przyszłej sławy i wziętości w dramatycznym zawodzie; i Publiczność i Aktorowie osądzili, że Górską ma talent prawdziwy. We wszystkich pięknych sztukach mierność i zupełna niezdolność znaczą prawie to samo, lecz w dramatycznej sztuce oświecony widz z łat-

wością osądzi prawdziwy lub mierny talent przed swémi oczyma. Jedném słowem, podobno, że jeszcze nie było przykładu, aby udany talent między Aktorami miał większą wziętość, niżeli prawdziwy, nawet na czas krótki, tymczasem w Historji Literatury zdarza się to bardzo często!

Od tego widowiska Górska została *Prima Donna* wileńskiej sceny—Podwyższono jój gażę (z 5 na 15 dukatów), dawano piérwsze role. Dla powiększenia jój ówczesnej sławy, przyczyniły się także występy w baletach dawanych w zimie tegoż roku przez Pana *Bernardelli*. Od tego to więc czasu aż do roku 1839 nie opuściła Sceny wileńskiej, zawsze zajmowała najpiérwsze role w Dramatach, Komedjach i Operach—Zadnej nie zawiodła nigdy. Wiele Artystek w przeciągu tego czasu odwiedziło Wilno, wiele z prawdziwym talentem i z wielkiém powo-

dzeniem, ale żadna nie przewyższyła Górskiej, żadna nie była tak miłą Publiczności.

Wrodzony talent, pierwsze wrażenie, jakie sprawiła na jej umyśle gra Ledóchowskiej i które pozostało na zawsze, a do tego ciągła, niezmordowana praca, tak nieodbitnie potrzebna dla każdej nawet najbardziej utalentowanej Artystki, prawdziwe sceniczne zamiłowanie i wytrwałość w swoim zawodzie, wykształciły z niej Artystkę prawdziwą, przynoszącą chlubę nie tylko naszej ale ogólnie polskiej scenie. Nieustanna praca i głęboka rozwaga, odmalowały jej Artystkę w prawdziwym świetle — Pojmowała ona dobrze scenę i Sztukę dramatyczną. Wiedziała, że gdyby odmalować wielkość talentu, trzeba zupełnie przejąć się rolą, doskonale odcieniować przyjęty na siebie charakter — Umiała stworzyć sobie rolę, nadać piękny i pewny charak-

ter i ten charakter trwał przez całą sztukę — Cały ciąg Widowiska był u niej skutkiem głębokiego, ścisłego, pewnego wyrachowania i ułożenia. — W grze jej nie było nic przypadkowego, ale wszystko skutkiem rozwagi. I dla tego właśnie gra jej była dla nas zawsze tak miłą: bo w pięknych sztukach każdy prędkiej wybaczy umyślną omyłkę przyjętą za doskonałość, a niżeli będzie podziwiał chwilową piękność.

Umiała ona mocą swęj duszy przyciągać do siebie publiczność i utrzymywać ją kilka godzin przykutą i podziwiającą jej talent — Lecz jakże to jest ciężko, jak głębokie powinno być wyrachowanie! Tysiące oczu patrzy na Artystę, i jedno schylenie głowy, jeden nie w miejscu zrobiony wykrzyk, lub z osłabienia jedna nie odcieniowana myśl — obalają, niszczą całą zasługę.

Zakres tego pisma nie pozwala nam rozwodzić się nad wszystkiemi sztukami, w których podziwialiśmy talent Górskiej. Wspomnijmy tu kilka, jeszcze świeżych w pamięci naszej: *Wendetta*, *Jest temu lat szesnaście* (grana po raz pierwszy w Grudniu 1833) *Aniela de Gaston*, *Dziewica orleańska*, *Trzydzieści lat życia Szulera*, *Włóczęga*, *Warjotka*, *Zbójcy* (Szyllera), *Fenella* (rola niemiej). *Marja Tudor*, *Marja Stuart*, *Monaldeschi*, *Inez de Castro*, *Joanna Montfaucon Precjoza*, *Kaplica w Glenthorn*, *Puszcza pod Hermanstadt*, *Joanna z Flandrji*, *Maska zelazna*, *Saracen* i wiele innych. Czy to cierpiąca cnota, czy zapal natchnienia dla wynalezienia środków ratunku, czy czuła kochanka, wszystko było oddawano z zapalem, grą najszlachetniejszą i zupełnie zadowolniającą. Nieustanna praca, przeciwności i nieszczęścia, których uniknąć nie podobna

w scenicznym zawodzie wyryły na jej twarzy piętno cierpienia. Mając przy tem wrodzoną i największą zdolność do ról tragicznych, była niezrównaną w dziełach Szekspira, Szylle-
ra i innych już to klassycznych już nowszych Dramatach i Tragedjach. Piękna twarz, mocna i kształtna budowa ciała, zręczne i zastosowane ruchy, utrzymywanie ciągłej gry, robiły ją ozdobą naszej sceny przez lat 24.

Natura nie obdarzyła ją głosem i mimo wszelkich usilności nie mogła walczyć z przyrodzeniem; z tego powodu rzadko śpiewała i to tylko w pomniejszych Operach.

Co największa, nikt może z Artystów tutejszych nie znal tak dobrze gustu Publiczności i nie umiał tyle do niego zastosować się, jak Górska. Za to rzadko kto był tyle powszechnie kochany i szacowany jak ona.

W jesieni 1836 roku Niemiecka

Pam. Umysł. T. II.

3



Kompania pod dyrekcją P. Szmidkoff zaległa wileński teatr. Publiczność nasza skwapliwa do nowości rzuciła się na Opery i zapomniała, że ma rodzinną scenę. Przez całą zimę Teatr polski nie miał żadnego powodzenia. W następnym roku, w jesieni, P. Szmidkoff wziął ogólną Dyrekcję polskiej i niemieckiej sceny. Z Warszawy zostały sprowadzone dwie dobre Artystki Zamecka i Kamińska. Polska scena znowu zakwitła. 30 Grudnia grali Tragedję Szyllera *Dziewica orleańska*. Górską w roli Joanny, przydała naszej scenie nową świetność. W tymże roku grała Niemą, w Operze *Niema z Portici*, znajomej u nas tylko pod imieniem *Fenelli*, i zakasowała wszystkie swoje poprzedniczki.

Na początku 1839 roku, Panna Górską w skutek nieporozumienia z P. Szmidkoff, zupełnie opuściła scenę. Publiczność zaczęła na to sarkać.

Surewicz, Artysta dramatyczny, chcąc zadosyć uczynić życzeniom Publiczności, uprosił Pannę Górską przyjąć na jego benefis rolę Warjatki— 13 Kwietnia Afisze ogłosiły, że „*Widowisko będzie ozdobione wzorowym talentem zasłużonej Artystki, której piękna i pracowana gra, zawsze jest miłą i pamiętną mieszkańcom Wilna*“. Skwapliwa Publiczność rzuciła się do Teatru — przeplacona za łoże i krzesła, byle dostać. Panna Górską wychodzi na scenę, Publiczność nie daje jej mówić, przeszło kwadrans trwają oklaski. Rozrzewniona Artystka gra niezrównanie. Przez całe widowisko Publiczność w największym uniesieniu. Po ukończeniu przywołują Pannę Górską i P. Szmidkoff; ostatni oświadcza, że Panna Górską więcej już nie opuści sceny.

18 tegoż Kwietnia znowu wystąpiła w roli Cinthji w Dramacie Raupa-

cha *Robert Djabel*; potem 4 Maja grała na swój benefis dramat Wiktora Hugo *Marja Tudor*, przełożony przez J. Surewicza. 12 Maja było ostatnie jej wystąpienie na scenie wileńskiej w roli *Joanny d'Arc*. Wkrótce potem na zawsze opuściła Wilno. Dnia 1-go Listopada przybyła do Grodna, gdzie sama objęła Dyrekcją teatru. W następném lecie pojechała z towarzystwem do Suwałk, a po kilku miesiącach wróciła do Grodna. Po nieszczęśliwym a niespodziewanym zgonie Artysty zostającego pod jej Dyrekcją P. *Łosickiego* (który zastrzelił się w Garderobie teatralnej przed samém rozpoczęciem sztuki) znowu pojechała ze swoim towarzystwem do Suwałk, gdzie zaledwo po kilku występach umarła w roku 1840 mając lat koło 47. Niezmordowana praca a najwięcej różne nieszczęścia i pociski losu, jakie wytrzymała w ostatnich latach, przy-

śpieszyły jej zgon. Umarła w obcém mieście śród obcych ludzi; ciężki stan musiał być wzniosłej i szlachetnej duszy, po stracie wszystkiego co było jej najdroższem w życiu, umierać samotnie, daleko od ludzi, którym poświęciła cały swój wiek, pracę i talent.

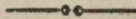
Jeden z moich znajomych nie dawno przejeżdżając przez Suwałki długo błąkał się po Smętarczu chcąc oddać ostatni hołd zasłużonej naszej Artystce. Lecz napróżno przebiegał od pomnika do pomnika, napróżno pytał przechodniów i nawet grabarzy, nikt nie mógł wskazać miejsca, gdzie znalazła wieczny spoczynek i szczęście, które nie było jej udziałem za życia. Przed wyjazdem z Wilna miała choć nie wielki, ale zabezpieczający jej przyszłość fundusz, gdzie się to wszystko podziało, nikt nie wie — Dość, że było komu zabrać

3*

spadki, a nie znalazł się taki, coby
przynajmniej położył kamień na jej
mogile.

Lipca d. 8. —
1843. r. Wilno. —

Jan ze Sliwina.



FABRYKANT.

KOMEDYA WE 2 AKTACH

przez

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

THE
MUSEUM OF
THE
MIDDLE EAST
AND
AFRICA

O S O B Y.



Józef Zalicki.

Anna, jego żona.

Kazimira, jego siostra.

Henryk S., brat Anny.

Walenty, stary sługa Zalickiego.

Kasia, służąca Anny.

Ekonom.

Scena na Podolu, we wsi Zalickiego.

1887

1887

1887

1887

1887

1887

1887

1887

1887

1887

1887

A K T I.

(Pokój w domu Zaliczkiego. Anna i Kazimira w rannych szlafroczkach siedzą przy kawie. — Walenty przynosi sucharki).

A N N A.

Coż! prosileś Pana na kawę?

W A L E N T Y.

Et!

A N N A.

Coż to znowu za odpowiedź?

W A L E N T Y.

Ta prosiłem już ze cztery razy. Pan zawsze mówi zaraz, zaraz i tyle tego.

A N N A.

To pójdź jeszcze raz.

W A L E N T Y.

Ni — Niech się sobie Pani gniewa, albo nie gniewa, a ja więcej nie pójdę. Pan jeszcze gotów człowieka złać, albo i w papę dać — to dobre młodemu; a mnie to na co? już ja stary.

A N N A.

Gdzież mój mąż teraz?

W A L E N T Y.

A gdzież ma być? w Kuźni. Tam jakieś nowomodne resory teraz kuja, i Pan stoi nad niemi i pilnuje, jakby tam robili dukaty. — A gdyby Pani wi-

działa jakie u Pana ręce! nu, dalibóg,
pójdzie ze dwa funty mydła.

KAZIMIÉRA.

Jaki z ciebie gdéra , mój Walenty!

WALENTY.

Dobrze Pannie śmiać się. A jakby
przyszło Pannie Kazimierzce biegać za
Panem cztery razy na kawę, sześć razy
na obiad, siedem razy na herbatę — a ro-
sól zimny po trzy razy odgrzewać, a
pięć razy nastawiać samowar; a myć
ręce Panu jak przyjdzie z kuźni; a wy-
wabiać plamy ze wszystkich sukien,
jak przyjdzie z téj przeklętej malarni,
toby się Panna nie śmiała.

A N N A.

Idź przynieś więcej śmietanki.

WALENTY.

Idę — jak z Ekonomem to Pan i ga-
Pam. Umysł. T. II. 4

dać nie chce. Dla tego też i siano pogniło na pokosach. A z tym bestją siodlarzem, co człowiekowi dobrego słowa nie da, niby to on coś lepszego odemnie; a z malarzem, a z kowalem, to Pan za pan brat, aż ja to już dawno chciałem Pani powiedzieć. Bo przez te majsterstwo, to u nas, dalibóg, będzie źle. Kocze nowe stoją, jakieś tam karjolki się robią, a jakieś bryczki, a konie w stajni, nu, dalibóg, nie mają co jeść, jak szczepy. Nieboszczyk Jegomość posyłał nas do Krzemieńca, płacił P. Wojciechowi grube pieniądze, czyż na to, żeby Panicz, chcę mówić Pan, był potem fabrykantem? tfy! — warto było tyle rubli oddać w ręce Pani Matematykowej, żeby potem kuć młotem i smarować się lakierem — fe!

KAZIMIÉRA. (*śmiejąc się*).

A idźże po śmietankę.

W A L E N T Y.

Idę — albo wczoraj: chodzę, chodzę, szukam zielonego tużurka, tłukę Wojtusia że mi go zarzucił. On klnie się że nie widział, a ja go biję i mówię: Iżesz — a tużurka jak nie ma tak nie ma — rozstąp się ziemia. — Aż przed wieczorem idę do fabryki prosić Panicza, ej, pana na herbatę, patrzaj aż tam siodlarz z mego tużurka już i kraje materac. I sam go Pan wyniósł.

A N N A.

Ale idź-że już, idź.

W A L E N T Y.

Idę — Ot nie dawno co mię Pani poyłała do P. Marszałkowej — wszędzie aż się dusza raduje: gdzie nie spojrzysz, pszenica w kopach, żyto zwiezione, jęczmień na pokosach; a u nas, nu dalibóg, i nie zaczynały się żniwa.

ANNA. (*serio*).

Ależ mówiłam ci idź.

WALENTY.

Nu idę — a co to pani kazała przynieść?

KAZIMIERA.

Śmietanki, gaduło.

WALENTY.

Ach! śmietanki! (*wychodzi*).

(*Anna odsuwa filiżankę, i zasmuca się*).

KAZIMIERA.

Czegożes tak główkę zwiesiła? kochana Anusiu! doprawdy dziecko jesteś, że cię gderania tego starego gaduły tak szczerze zmartwiły.

A N N A.

Czyż mnie gderania jego martwią?
O! nie uwierzysz, kochana Kaziuniu!
co to za męka dla żony, kochającej
męża nad życie, kiedy widzi w nim
rozwijającą się jedną z tych namię-
tności, które pochłaniają wszystkie je-
go uczucia; tak, że dla niej biedaczki
prawie nic nie zostaje.

K A Z I M I É R A.

Egoizm, Anusiu.

A N N A.

Czyż nie do przebaczenia? Jak pój-
dziesz za mąż, obaczysz jak będziesz
wymagającą. Ale ty masz szczęśliw-
szy charakter od mego. Ty co posta-
nowisz, to tak i być musi. O! ty bę-
dziesz za nos wodzić mego braciszka.

K A Z I M I É R A.

Jeśli pozwoli — może.

4*

A N N A.

Nie będziesz ty go prosić o pozwolenie. Tym bardziej że on cię tak kocha.

K A Z I M I É R A.

Śliczne kochanie! pojechał do Berlina i siedzi tam już cztery lata. Józio ciebie więcej kocha.

A N N A.

Ja nie wątpię o przywiązaniu Józia, a przecież nieraz mi się płakać chce serdecznie. Obudzę się rano, patrzę, już go koło mnie nie ma; wstanę, ubiorę się, nikt nie przyjdzie powiedzieć mi dobry dzień; dadzą śniadanie, siedzimy same i czekamy jak i teraz, i same wstajemy — a jeśli przyjdzie, to na chwilkę; wychyli kawę czém prędzej jak szklankę wody, ani tego widzi,żem mu zostawiła najsmaczniejsze kożuszki, najpulchniejszą bu-

ieczkę, najlepiej przyrumieniony sucharek. Do obiadu ani go obaczyć. Po obiedzie zamiast pobawić z nami, zamiast popieścić dzieci, mnie pokaresować, on mi prawi o swoich spekulacjach fabrycznych, z których nic, tylko strata i zaniedbanie rzeczy przynoszących prawdziwy dochód. Wolałabym doprawdy, żeby był zawziętym literatem; przynajmniej siedziałby blisko koło mnie, i mogłabym mu przeskadzać tyle razy, ileby mi się podobało.

KAZIMIÉRA.

Duszeko Anusiu! i to choroba. Zapytaj pani Michałowej jak jej wesoło. A gdyby grał?

ANNA.

Ach! niechże Bóg uchowa.

KAZIMIÉRA.

A widzisz! Już to byź nie może,

żeby mężczyzna nie miał jakiegoś wyłącznego zajęcia. Gorzejby było gdyby grał w karty, albo gdyby był kompletnym próżniakiem, do niczego, jak wielu naszych Panów, co tylko z tem przebrzydłym fajczyskiem noszą się ciągle, jak zakonnica z różańcem, i mierzą czas ilością wykurzonych lulek, fe! — Dla jednych i dla drugich powinny być kuratela i w każdym Powiecie osobny dóm poprawy. A przynajmniej wszystkie Panny, które się starzeją z przyczyny tych kart, powinny się zmówić, żeby ani słowa nie zagadać do takiego Panicza, co gra, co nie służy rządowi, co nie gospodaruje, nie czyta, nie pisze, nie rysuje, nie zbiera żadnej kolekcji, choćby much i komarów. Ale fabryka twojego męża przynosi wam przynajmniej jakiś dochód ?

ANNA.

Doprawdy że nie wiem. Ale bardzo

wątpię. Co najgorsza, że się gospodarstwo zaniedbuje; że koszt na utrzymanie tych ludzi wielki; że na materiały trzeba zawsze gotowych pieniędzy, a sprzedaż powozow niepewna lub żadna. Nawet boję się, doprawdy, czy Józio nie zaczął już pożyczać.

KAZIMIERA.

To mu nie pozwolę. Pilna potrzeba robić długi, mając wieś tak piękną!

ANNA.

Moglibyśmy żyć jak najwygodniej i jeszcze każdego roku oszczędziłoby się na dalsze wychowanie dzieci. — Ale co? wszystko idzie na fabrykę.

KAZIMIÉRA.

A toż nieszczęście, prawdziwie.

(Walenty wchodzi ze śmietanką).

W A L E N T Y.

Więcej nie ma — bo krowy stoją bez siana. Nu, dalibóg, nie ma — ani źdźbła.

(*Kasia wbiega*).

K A S I A.

Proszę Pani! Pan chce koniecznie wziąć zielony atlasowy szlafroczek P ani, na poduszki do kocza. Ja udałam że zarzuciła klucz i przybiegłam tu. Czy Pani każe dać? Pan tam czeka w garderobie.

W A L E N T Y.

Otoż macie! taka sama historia jak z tużurkiem.

KAZIMIÉRA. (*śmiejąc się*).

Udawaj że nie ma klucza.

W A L E N T Y.

A ja nie miałem tego rozumu, żeby klucz schować. — Ale teraz już basta nie dam się złapać! — do razu sztuka.

A N N A.

Poproś Pana żeby przyszedł na kawę; a tym czasem niby szukaj klucza.

W A L E N T Y.

Nie, klucza nie szukaj i szlafrocza nie dawaj. (*Kasia wychodzi*).

A N N A.

Cicho! co tobie do tego.

W A L E N T Y.

Jakto co do tego? albo to ja nie nosiłem Panicza na rękę, jak był małym; nie byłem z nim w szkołach u Pani Matematykowej, kiedyśmy się uczyli; albo nie byłem z nim w War-

szawie i w Krakowie? albo nie najezdziłem się z nim do Paszkowiec, jak Pani była Panienką i kiedyśmy się o Panią starali. Imnie ma być nic do tego że Panicz, chcę mówić Pan, będzie chodził bez bótów, a Pani bez sukienki — a dalibóg, że do tego przyjdzie.

A N N A.

Dobre masz serce mój Walenty, ale nie masz rozsądku.

W A L E N T Y.

Ja nie mam rozsądku — nu, niech i tak będzie (*zbięra ze stotu i mruży*). Ja nie mam rozsądku, o! nie mam rozsądku — prawda że nie mam...

(*Józef Z. wchodzi*).

J Ó Z E F.

Co ten gdęra tam mruży? — dajże mnie kawy.

W A L E N T Y.

Już zimna (*do Anny.*) A niechno
Pani patrzy na ręce Pana — ja nie mam
rozsądku.

J Ó Z E F.

Dobry dzień ci Anusiu! dobry dzień
Kaziu! — Czegożeście się tak nadęły
obiedwie. — No Anusiu! pocałujże
mnie.

A N N A.

Zwalasz mi szlafroczek.

J Ó Z E F.

Co ci to Kaziuniu? czyś nie chora.
(*chce ją pocałować*).

K A Z I M I É R A.

Aj! mój kołnierzyk.

J Ó Z E F.

Co wam się zrobiło?

Pam. Umysł. T. II.

5

WALENTY. (*śmieje się.*)

Oto, to dobrze — (*pokazuje mu ręce jego*). Patrzno Pan.

JÓZEF.

Ach! prawda, żem się okropnie zawalał w kuźni — dajże mi wody i ręcznik — Ale co to będą za resory!

WALENTY. (*bierze połę jego surduta i pokazuje*).

O! O! i O! niech pani patrzy.

JÓZEF.

No, coż! farba. Trochę olejku terpentynowego i basta. (*Walenty wychodzi*). Ale co za kolor zielony! jaki lakier, jak zwierciadło. Anuleczku kochana! masz podobno zielony atłasowy szlafroczek? daruj mi go duszko. Chciałbym skończyć ten kocz do

Jarmarku. Będzie cacko, obaczysz—
z rąk mi go wydrą. Ale zjedzą dia-
bla, że im go oddam za mniej jak za 200
dukatów. A wtenczas takiej ci materji
wezmę na szlafroczek, że obaczysz.

KAZIMIÉRA.

Wróble na dachu, mój braciszku.

JÓZEF.

Ty niczemu nie wierzysz. Ja nie
wiem doprawdy, za co ty mię masz
moja Kaziu!

KAZIMIÉRA.

Mam cię za człowieka, który szu-
ka szczęścia za górami, kiedy ono tuż
obok niego. (*Walenty wchodzi z mie-
dnicą w rękę i ręcznikiem.*)

JÓZEF.

Bardzo się boję jak ten twój na-
ręczony Hegel przyjedzie z Berlina,

to mi rozfilozofujecie dóm na winne jabłko. Każżę mnie Anulku dać szlafroczek.

WALENTY.

Niech Pani nie daje.

JÓZEF.

Ale idź-że ty sobie stary gaduło! Jemu się ciągle zdaje, żeśmy jeszcze w Krzemieńcu, gdzie chodził za mną jak cień i gdérał od rana do nocy. (*umywa ręce*) A pamiętasz stary, jak bywało nie chciałem wstawać, he?

WALENTY.

A pamięta Pan, jak ja z Panicza ściągałem koldrę — aha!

JÓZEF.

A jak ja gniewałem się na ciebie? he?

W A L E N T Y.

A jak ja śmiałem się z tego —aha

J Ó Z E F. (*poufalój*)

A pamiętasz, jakeśmy u P. Matematykowej ,wypijali śmietankę? co?

W A L E N T Y.

A jak ona Panów klęła — ha?

J Ó Z E F. (*ciszój*).

A pamiętasz jakem ci ukradł z kufferka frak i zastawił.

W A L E N T Y.

Dla tej Marysi, co to na Czerczy. ha?..

J Ó Z E F (*zatyka mu gębe ręcznikiem*)

Cicho! ty stary durniu!—

W A L E N T Y. (*śmieje się*)

Nu, nu, niech będzie cicho. —

JÓZEF. (*zarzuca mu ręcznik na ramię*)

No, gdéraj sobie na mnie, gdéraj masz do tego prawo. Kochasz mię, i jam ci wyplatał nie jednego figla.

KAZIMIÉRA.

Ale ty braciszku, i teraz robisz mu podobne figle.

JÓZEF.

Jakto?

WALENTY.

Jakto? — a zielony tużurek? alboż mi go Panicz, chcę mówić, Pan, nie wyniósł? a ten bestja nie pokrajał go na materac?

JÓZEF.

Ha! ha! prawda. Ale to co innego. Surdut mi nie potrzebny, a będą za niego pieniądze. A coż Anulku,

szlafroczek? Posyłać po materję daleko — a chciałbym skończyć.

A N N A.

Idź Walenty do Kasi, niech da szlafroczek.

W A L E N T Y.

Otoż macie! jeszcze i Pani pomaga? — i ja nie mam rozsądku.

J Ó Z E F (*obraca go do drzwi*)

No, ruszaj, ruszaj — ja wiem, że ty mię kochasz.

W A L E N T Y.

Coż ja mam robić? ja mówię, że to źle — ale ja nie mam rozsądku. (*wychodzi*)

J Ó Z E F (*siada przy żonie*)

Coż Anuleczku? nie pocałujesz mię?

ANNA.

Gniewam się.

JÓZEF.

Jeszcześmy sobie dziś nie powiedzieli dobrego dnia.

ANNA.

Właśnie dla tego gniewam się.

JÓZEF.

Czyż myślisz, że ja cię nie kocham, dla tego, że się zrywam z pościeli ze świtem i idę pilnować roboty? Że siedzę tam nad kowalem, żeby mi czego nie zepsuł; że pilnuję rymarza, żeby nie ukradł sukna i skóry? Dla kogoż ja to wszystko robię jeśli nie dla was? Czyż to zamilowanie industrii, która jest teraz wielką sprężyną Europy, ma mię pozbawiać twojej miłości? (*Anna patrzy na niego z rozczu-*

leniem) Mój ty Aniołku! czytam w twoich oczach co czujesz, co myślisz. O! szczęśliwy mąż, dla którego żona po kilku latach pożycia ma jeszcze takie wejrzenie. (*całuje jej rękę*) Pamiętasz jakieś spojrzała na mnie wtenczas, kiedym raz pierwszy ośmielił się rękę twoją ścisnąć; kiedym potem coraz bardziej ośmielony....

(*Ekonom wchodzi.*)

E K O N O M.

Proszę Pana! Kowal chce koniecznie żelaza na rychwy, a umnie już nie ma ani kawałka.

J Ó Z E F. (*powstaje*)

Masz tam Asan pługi, to daj mu parę lemieszów, w nich żelazo dobre.

E K O N O M.

Ale Wielmożny Panie! czémże będziemy orać?

JÓZEF.

Jeszcze do orania daleko — tymczasem się kupi — idź Asan (*Ekonom wychodzi ruszając ramionami.*)

KAZIMIÉRA.

Dawniej Ojcowie nasi w potrzebie kraju przekowywali lemiesz na orężę, a my na rychwy — wiek instry.

JÓZEF.

Nie żartuj sobie — Do tego idzie, że orężę przejdą na lemiesz, na szruby i różnego rodzaju resory.

KAZIMIÉRA.

Może to być — Ale wówczas każdy będzie pilnował jednego. Rolnik roli, karetnik karét, kowal młota, literat książki.

JÓZEF.

Alboż teraz nie tak?

KAZIMIĘRA.

Żniwa skończyłeś?

JÓZEF.

Otoż, nie przyszło mi spytać Ekonomia.

ANNA.

A widzisz! złapała cię.

JÓZEF.

Dla tegożeśmy i goli, że tylko tego jednego pługa pilnujemy wszyscy.

KAZIMIĘRA.

Ojcowie wasi nie byli goli. Jeździli w danglowskich powozach, a sami siali hreczkę. Nie ganię ja przedsię-

wziąć przemysłowych ; ale przemysł
powinien przynosić zysk nie stratę.

J Ó Z E F.

Alboż ja tracę ? ba ! ba ! — obaczysz
co mi jarmark tegoroczny przyniesie.

A N N A.

A przeszłoroczny ? Józiu !

J Ó Z E F.

Przeszłoroczny nie udał mi się. Ależ-
bo nawiezli ze wszystkich kątów po-
wozów, tak, że do kupca nie można
się było docisnąć. A przytém nie mia-
łem jeszcze kupieckiego doświadcze-
nia. Za każdą lekcję, moje życie, mu-
si człowiek zapłacić albo zdrowiem,
albo pokojem duszy, albo kieszenią.
Taki jest porządek rzeczy. Teraz już
wiem jak sobie radzić.

KAZIMIERA.

A zboże płaciło, a nie miałeś co
przedać.

JÓZEF.

A! dajbo mi pokój z tém zbożem.

ANNA.

Siądnno tu przy mnie, Józiu! chcę
ci coś powiedzieć.

JÓZEF. (*siada i obejmuje ją*).

Co moja złota Auulku! Gdybyś ty
wiedziała jakie mi słodkie czasy przy-
pominają te słowa: *siądz tu przy mnie*.
Tylko wtenczas jeszcze mówiłaś: *siądz
Pan tu przy mnie*. Ja drżałem od szczęś-
cia kiedym przy tobie siadał, kiedym
pomyślał, że przynajmniej sukienki
twojej dotknę ręką. Cała moja dusza....

(*Ekonom wchodzi*),

EKONOM.

Lakiernik pyta czy Pan każe i na piastach robić żółte paseczki, jakie porobił na sprychach.

JOZEF. (*zrywa się.*)

Czy porobił?

EKONOM.

Porobił.

JÓZEF.

I żółte?

EKONOM.

Zółte.

JÓZEF.

A żebyż go diabli durnia wzięli! mówiłem żeby gładko. (*wychodzi*).

KAZIMIÉRA. (*śmieje się*).

Otoż o co oparła się powódź mał-

żeńskiej czułości? O żółte paseczki.—
Z resztą to i dobrze; bo ja tych roman-
sów między małżonkami bardzo nie
lubię.

A N N A.

Jak mój brat przyjedzie, a uda mi
się was połączyć — to obaczymy.

K A Z I M I É R A.

Nic nie obaczycie, ręczę.

A N N A.

Bo ty nie bardzo kochasz mego brata.

K A Z I M I É R A.

Jakże chcesz żebym go tak bardzo
kochała, kiedy go prawie nie znam.
Wyjechał za granicę młodziutkim chło-
paczkim, kiedy ja ledwie miała rok
piętnasty. Wprawdzie dopomina się
on ciągle o moją rękę; ale jak wróci,

ktoż wie, czy ja podobam się jemu, a on mnie?

ANNA.

Niech cię Bóg broni, żeby ci się nie podobał. Płakałabym i wieczny żal miałabym do ciebie.

KAZIMIERA.

A jeśli i on przywiezie z za granicy jaką industrję! — Gniewaj się, nie gniewaj, ale wtenczas, jak cię Kocham, nie pójdę. Smutno żonie z fabrykantem. Mam na tobie przykład.

ANNA.

Bardzo wątpię — chyba będzie fabrykantem xiążek.

KAZIMIERA.

O! to i w takim razie nie pójdę.

ANNA.

Wymyślaj, wymyślaj — to zostaniesz starą Panną.

KAZIMIĘRA.

Wolę.

(Walenty wchodzi z listami).

ANNA.

Zkąd to ?

WALENTY.

Ten od P. Marszałka do Pana. — A ten do Pani, ale kazano oddać tak, żeby Pan nie widział.

ANNA.

Coż to znowu za sekreta.

WALENTY.

Albo ja wiem ?

6*

A N N A.

To ręka mego Szwagra — odnieść Panu. — (*Walenty wychodzi*). A to od Henryka. Dla czegoż sekret. (*rozpieczętowanie*.) Ach Kaziuniu! mój brat wrócił. O! co za radość! wkrótce będzie tu. Słuchaj Kaziu, (*czyta*). „Droga „Anulku! wyjechałem od was jak smyczek, wracam jak Basetla, takem się wypasł na niemieckich wasser-zupkach „i Filozofji Hegla. Zdrów jednak jestem i wesół, chociażem się podsta- „rzał i utył. Cieszę się jak dziecko, że „widzę wasze twarze, słyszę wasz „głos, patrzę na wasze łany, wasze la- „sy, oddycham waszem powietrzem.“
Pocziwy Henryczek! jak on nas kocha!

K A Z I M I É R A.

Ale czytaj-że dalej.

A N N A. (*usuwa list*).

Aha! ciekawaś czy niema czego o tobie?

KAZIMIÉRA.

Wcale nie.

ANNA.

Wcale nie? to zle. — Ja chcę żebyś
była ciekawa, żeby cię to interesowało.

KAZIMIÉRA.

No, ciekawam — czytaj.

ANNA. (*czyta*).

„Jednak śród tej radości i zmartwi-
„łem się moja droga Anulku! — Mó-
„wią żeś ty nie bardzo szczęśliwa.“ —
Ktoż to mówi? Kto śmie tak kłamać?
Otoż szczęśliwa jestem, bardzo szczęś-
liwa. — Co to za klęska ci nieproszeni
protektorowie.

KAZIMIÉRA.

Ale czytaj-że o co idzie.

ANNA. (*czyta*)

„Słyszę twój P. Józef zrobił się
„zupelnym fabrykantem. Zanedbuje
„ciebie, dzieci, zanedbuje gospodar-
„stwo, traci pieniądze i zaciąga dlu-
„gi na kocziki i powoziki, których
„nikt nie chce kupować.“

KAZIMIÉRA.

A coż? to prawda.

ANNA.

Coż ztąd że prawda? co komu do
tego? kiedy ja się nie skarżę.

KAZIMIÉRA.

Ale coż dalej.

ANNA. (*czyta*)

„Chcę mu dać małą naukę i wy-
„leczyć go trochę z tej ogarniającej
„nas koczobrykowej manji.“

KAZIMIERA.

Sprawiedliwie! widać, że P. Henryk tą manją nie zarażony — kto wie, może ja mu i nie odmówię.

ANNA. (*czyta*)

„Otoż proszę cię moja Anuleczku!
„nie mów nic mężowi, żem wrócił.
„Cokolwiek obaczysz nie zadziwiaj się;
„jeśli się domyślisz, udawaj, że nic
„nie wiesz — do widzenia się — bar-
„dzo prędko. Całuję cię z serca“ — Coż
to takiego? ja nic nie rozumiem.

KAZIMIERA.

A o mnie nic?

ANNA.

Nic.

KAZIMIÉRA.

Ładnie! — Ale przewróć-że może
tam jeszcze co jest?

ANNA.

A mówiłaś żeś nie ciekawa.

KAZIMIĘRA.

To nie przewracaj.

ANNA. (*całuje ją*)

Kocham cię za ten gniew. Sluchaj-
że teraz. (*czyta*) „A coż robi Panna Kazi-
„mięra? czy pamięta jeszcze o mnie?
„Daruj mi Anuleczku! ale muszę ci się
„przyznać, że ledwie nie bardziej pra-
„gnę ją widzieć, niż ciebie. Nie poka-
„zuj jednak tego przypiska, jeśli o mnie
„zapomniała.“

KAZIMIĘRA. (*uradowana*)

Komponujesz — tam pewnie nie tak
napisano.

ANNA.

Czytaj sama. Ale co to on myśli

zrobić. Gdyby tylko nic takiego, coby było przykrem Józiowi — bo na to nie pozwolę.

KAZIMIÉRA.

Możesz-że się tego lękać od Henryka?

ANNA.

Więc już go bronisz? — No, chwaliła Bogu—Ale cicho! Józio idzie—schowaj list.

JÓZEF. (*za sceną*)

Zawołajcie-no mi jeszcze siodlarza. (*wchodzi z listem w rękę*) Otoż widzicie? wy mnie macie za nic. Święta prawda, że nigdzie człowiek nie jest mniejszym człowiekiem jak w domu. A tymczasem za domem i daleko za domem, inaczej o mnie sądzą.

ANNA.

Coż się stało?

JÓZEF.

Nie odebrałaś nic od siostry?

ANNA.

Nic ani słowa. A to od kogo?

JÓZEF.

Ignas pisze. Fabryka moja ma reputacją i za granicą. Do Lwowa już doszły moje koczki. Do Lwowa! pojmujecie to? gdzie wiedeńskie za bezcen, tam moje się płacą i poszukują. Na S-ty Jan powiozę tam sam kilka koczów i dwie karęty. Trzeba mi się tylko dobrze wziąć do roboty, Hej! (*idzie do drzwi*) Zawołajcież mi siodlarza — prędzej (*zacierą ręce*). Teraz dopiero postawię się na nogi. (*ściska żonę*) Moja ty złota Anuleczku! (*całuje siostrę*) Mój ty śliczny Tomaszu niedowiarku! Obaczycie ile ja wam cacek nawiozę ze Lwowa.

ANNA.

Ale skądże to wszystko mój Józiu?

JÓZEF.

Ależ Boże mój! Ignas pisze. Był u Prezesa, który ma tak sobie, dosyć porządną fabrykę powozów. Tam Ignas zastał jakiegoś Niemca, znakomitego Fabrykanta powozów z Wiednia. On jedzie do Charkowa i chce tam założyć fabrykę na wielką skalę. Niemiec chwalił półgębkiem powozy Prezesa, a ciągle pytał gdzie ja mieszkam. Zastanowiło to P. Ignacego. Nakoniec dowiedział się, że Niemiec — słuchajcież dobrze — że Niemiec przypadkiem dostrzegł we Lwowie powóz, który go *zafrapował*. (*pokazuje w liście*) O! patrzcie: *zafrapował*. Dowiedział się czyj; wypytał właściciela jakiej fabryki; i umyślnie zwrócił drogę tędy, żeby się zemną poznać i fabrykę moję obejrzeć. — A co?

Pam. Umysł. T. II.

7

KAZIMIĘRA

Coż to za balamuctwo, mój bracie!

JÓZEF.

Tobie się to zaraz niepodobnym do prawdy zdaje, co tylko z pochwałą dla mnie. A gdyby jaki żarcik, jaki przycinek, tobyś w ten moment uwierzyła.

KAZIMIĘRA.

Ale jak cię kocham....

JÓZEF.

A! daj mi tam pokój z takim kochaniem. *(do wchodzącego Ekonomo)*
A co siodlarz?

EKONOM.

Siodlarz się napił, i jak tylko Wny Pan poszedł, położył się spać.

JÓZEF.

A, to nieszczęście, że też ich na chwilę odstąpić nie można.

KAZIMIERA.

Nie można odstępować; i właśnie też dla tego ta fabryka nie twoja rzecz.

JÓZEF.

Eh! gadaj sobie zdrowa — a tym czasem moje powozy sprzedają się za granicą.— Idź Asan rozbudzić go koniecznie, choćby zimną wodą. (*Ekonom wychodzi*) Proszę was, jak P. Sztok przyjedzie, żebyście mi go grzecznie przyjęły. Pisze Ignas że Niemiec zabawny, umizgalski, brał się nawet do Prezesowej, która rada była że się choć taki adorator zdarzył. Ale rzecz swoją zna doskonale i ma sto-

sunki we Lwowie. Mieszkał parę lat w Galicji i może mi dać dobrą rekomendację. W takich przedsięwzięciach o to tylko i chodzi, żeby mieć imię. Wszystko jedno jak w Literaturze. Nie patrzą jaka książka, ale kto ją pisał i kupują. Jak się dowiedzą w Berdyczowie, że fabryka głośna i za granicą, rozchwytają wszystko co przywiozę, tak, że mi nic nie zostanie do Kijowa na Kontrakty. — A będę się śmiał z Prezesa, którego błyszczące koczki i karęty zostaną wszystkie na placu, i po jarmarku wrócą, jak nie pyszne, do domu. Dobrze mutak. Dla czegoż myśli że wszystko na lakiery i na bronzach. Żelazo, Panie Dobrodzieju! żelazo, to grunt; suche drzewo, to fundament! O błyskotki łatwo. I w moim koczku we Lwowie pewnie nie błyskotki *zafrapowały* znacwę (*zacięła ręce*) A *zafrapowało* go coś przecie!

ANNA.

Kochany Józiu! jakbym ci chciała
coś powiedzieć.

JÓZEF.

Coż takiego?

ANNA.

Wszak nasza Zosia już ma dzie-
wiąty rok. Czasby ją uczyć; trzeba-
by dla niej Guwernantki.

JÓZEF.

Dajże mi tam pokój — skąd ja ci
wezmę na Guwernantkę.

ANNA.

Także jej zostawić nie można.

JÓZEF.

Właśnie teraz mam czas o tém my-
śleć! Poczekaj — jak przedam kocze
we Lwowie.

7*

ANNA.

Takim sposobem przyjdzie mi ją uczyć samej. A moje zdrowie...

JÓZEF.

Ty słicznie teraz wyglądasz. Doprawdy dawnom cię nie widział tak rumianą.

KAZIMIÉRA.

Zblednie ona prędko, jeżeli będziesz tak o nią dbał, jak teraz.

JÓZEF.

Protekcja! — bardzo proszę — Aha ktoś zajechał. Czy nie P. Wilhelm Sztok?

KAZIMIÉRA. (*na stronie*)

Czy nie on?

ANNA (*na stronie*)

Czy nie Henryk?

(*Walenty wchodzi i śmieje się*)

JÓZEF.

Ktoż to przyjechał?

WALENTY.

Niech Pan pójdzie z nim rozmówi się. Niemczysko jakieś puzate i rumiane; białowłose, ohrosły jak pudel; bryczka długa jak owczarnia, konie chude, że aż śmiech. Pyta: Gdzie Pan Dobrozi? — a ja pytam: jaki Pan Dobrozi. A on znowu: Gdzie Pan Dobrozi — a ja znowu: jaki Pan Dobrozi...

JÓZEF.

Ale przestańże gaduło. Idź prosz go tu. (*Walenty wychodzi*) No, proszę was, bądźcie grzeczne. Nic tak nie zraża Cudzoziemca, jak te szepty i śmiechy kiedy się pomyli. Coż dziwnego, że Niemiec robi myłki mówiąc po polsku. Samiśmy winni, żeśmy nie-

umieli postawić języka naszego na takim stopniu, aby go się tak wyuczano, jak my wyuczamy się po francuzku i po niemiecku.

(Walenty i Henryk wchodzą. — Henryk w tużurku i w trzewikach — włosy długie blond rozdzielone na czole, wąsy, bokobrody i broda rudawe — kotnierzyk wyłożony — czapka aksamitna z wielkim kutasem).

W A L E N T Y.

O to jest Pan Dobrozi.

H E N R Y K.

Barzdo miał wielki szczęście, że miał honor przyjechał. — Ja Wilhelm Sztok *Ein echter, lustiger Wiener.*

J Ó Z E F.

Bardzo się cieszę P. Sztok. — Proszę bliżej. Właśnie odebrałem list, w którym mi o Panu mówią.

HENRYK.

A, Pan wziął list, który gadał o
moja person. — barzo byl kontenta.

ANNA. (*cicho*).

Kaziu! to jakaś mistyfikacja. Patrz-
no, to oczy i nos Henryka.

KAZIMIÉRA.

Zdaje się że to on — ale jak się zmie-
nił. — (*śmieją się*).

JÓZEF.

Anusiu! Kaziu! fe! coż bo znowu.

HENRYK. (*ukazując na Kazimiérę*).

A to Pański żon?

JÓZEF.

Nie P. Sztok. — Oto moja żona —
rekomenduję.

HENRYK.

A to nie żon.

JÓZEF.

Naturalnie że nie — to moja siostra.

HENRYK.

A, siostr, Pański siostr — zrozumiałem. Pan Dobrozi miał śliczny żon, i bardzo ładny siostr — Proszę pocałuj rączka. *(całuje ich ręce, one śmieją się coraz mocniej. Walenty śmiejąc się wychodzi).*

JÓZEF.

Anulku! doprawdy że się rozgniewam.

HENRYK.

Nie był za co się gniewaj. Pański żon śmiał się z pański siostr; a Pański siostr śmiał się z Pański żon; a ja śmiał

się z Pański żon i z Pański siostr razem — ha! ha! ha!

JÓZEF.

Pocieszne stworzenie! — P. Sztok, pomówmy-no o tém, co nas więcej interesuje. Powiedz mi Pan jak znalazłeś nasze fabryki?

HENRYK.

Ej! pfuj teufel! to byl wielkie głupstwo ten fabryk.

JÓZEF. (*na stronie*).

Zarozumiałość niemiecka! (*głośno*).
Dla czegoż to?

HENRYK.

Nie ma ładny form i nie ma żadny moc — nic nie ma.

JÓZEF.

Doprawdy? czy wszystkie fabryki Pan znajdujesz nie dóbremi?

HENRYK.

Jeden był zli, drugi był gorszy.

JÓZEF.

A mójże kocz, coś go Pan widział we Lwowie?

HENRYK.

O! das ist was anders. Pański kocz był ładny kocz — (*cicho do Józefa*) Ale Pański żon ładniejszy jak Pański kocz.

JÓZEF.

Ale to do rzeczy nie należy, (*na stronie*) romansowy Niemczyk. (*głośno*) Czy uważałeś Pan?

HENRYK. (*z cicha*)

Jakie niebieski ocz ma Pański żon?

JÓZEF. (*śmiejąc się na stronie*).

Głupi! (*głośno*). Ale nie — jakie resory w moim Koczku.

HENRYK.

A, resor był dobry.

JÓZEF.

Jaka czysta robota!

HENRYK.

Czysta robota! *wunderschön!*

JÓZEF.

Pokażę Panu teraz parę Ekwipa-
żów na dokończeniu — obaczysz Pan
jak to u mnie akuratnie się robi.

HENRYK.

Nu, preprosil Pana — ale polski
robot nie był nigdy akurat.

JÓZEF.

Ja w téj mierze jestem Niemcem,
Panie Sztok.

HENRYK.

O! Pan byl Niemiec — bardzo się
cieszył — *und ihre frau ist auch aus
Deutschland?*

JÓZEF. (*do żony*)

Winszuję ci! wpadłaś mu w oko.

ANNA. (*z grymasem*)

Ale dajże mi pokój.

JÓZEF.

Nie, P. Sztok, ja jestem Niemcem
w akuratności tylko. Musiałeś to po-
strzedz w moim koczu. A u kogo Pan
widziałeś go we Lwowie?

HENRYK.

U Pan Graf Dunin Borkowski. On jego knpil u Pan Graf Skarbek; Pan Graf Skarbek jego kupil u Pan Graf Fredro a Pan Graf Fredro u P. Graf Kalinowski.

JÓZEF.

Wyrywają go sobie z rąk Magnaci—
(*do kobiet*) A co? — jeszcze do pojedyunku przyjdzie za mój kocz. Poczekajcie! nawiozę ich wam, nawiozę — będziecie mieli.

HENRYK.

Niech Pan wozil — Pan tam przedał wszystko, choćby dwadzieścia przywozil.

JÓZEF. (*do kobiet*)

Czy słyszycie? a co?

HENRYK.

Pan Graf Dunin, czy P. Kalinowski, już nie pamiętał który mówił mnie, że Pański kocz już jeździł sześć raz *nach Wien*, i ani jeden srubka nie wyskoczył.

JÓZEF.

A co? Sześć razy w Wiedniu, po szose, pocztą i ani jedna szrubka nie wyskoczyła! he?

KAZIMIÉRA.

Exageracja!

JÓZEF.

U ciebie wszystko exageracja! — Dla czegoż nie? bardzo być może. I jeszcze sześć razy pojedzie i nic się nie zepsuje — ja ręczę.

KAZIMIÉRA.

A zaraz musicie wszystko przechwalić.

HENRYK.

Już to polski manjer — jak co zgań to lgaj; jak co chwal, to jeszcze więcej lgaj (*do Józefa*). Pański siostr miał śliczny rozum. Mnie bardzo podobał się i Pański żon i Pański siostr.

JÓZEF. (*śmiejąc się*).

Panu i Prezesowa się podobała.

HENRYK.

Eine alte kokette! ja! ja!

JÓZEF.

Dajmy temu pokój Panie Sztok. Nasza rzecz fabryka. Niechno Pan moję fabrykę obaczy! Zostań Pan na chwilkę tu; a ja pójde cokolwiek przyrządę. Bo trzeba ją Panu pokazać z najlepszej strony — Pan Konesor.

HENRYK.

Oho! ja znalazł się doskonale.

8*

JÓZEF.

O! tegom był pewny. Czyżby inaczej był *zafrapował* Pana powóz tam, gdzie tyle wiedeńskich.

HENRYK.

Ja zaraz widział, że nie wiedeński.

JÓZEF.

A widzicie! — Anulku! każ mu dać śniadanie. — Cożbo z temi śmiechami — jak małe dzieci doprawdy — miejcież rozum. — Ja zaraz przyjdę.

HENRYK.

Ja tu był kontent — ja fabryka potem obaczył. — (*Józef wychodzi*).

ANNA.

Henryku!

HENRYK.

Cicho!

ANNA.

To ty Henryku!

HENRYK.

Ja, ja moja Anulku! (*ściskają się*).

ANNA.

O co za szczęście! jakbym chciała
widzieć cię już takim, jakim jesteś.

HENRYK.

Jutro, jutro moja droga.

ANNA.

Ale jakeś ty się odmienił!

HENRYK.

Cztery lata! — A Panna Kazimięra
mnie nie poznaje?

KAZIMIERA.

Pod tą maską — nie zupełnie.

HENRYK.

I Pani nie pozwolisz uściskać się
po bratersku?KAZIMIERA. (*padaje mu rękę*)

Nie.

HENRYK. (*do Anny.*)

Jak ona wyładniała!

ANNA.

A jak mię kocha! jaka dobra! jaka
rozumna! — Ale do czegoż ta karyka-
tura? mój Henryku!

HENRYK.

Potrzebna i bardzo potrzebna. Mu-
szą ci powiedzieć, Anulku, że twój
P. Józef zgłupiał zupełnie.

ANNA.

O! nie mów tak Henryku! — coż ty masz za zamiar?

HENRYK.

Tego pijaka chcę trochę wytrzeźwić. — A jak? dowiesz się potem; bo i ty do mojego planu należysz.

ANNA.

Jeśli co takiego, co Józiowi przykrość zrobi — to nie chcę.

HENRYK.

Nie bój się moje życie — Jeśli mu to zrobi przykrość, to nie na dłużej jak na kwadrans. A czas wziąć go w kurację. Patrz Anulku! (*pokazuje jej wexle*) już blisko na 30,000 długów zaciągnął na tę głupią fabrykę.

ANNA.

Ach! Boże mój! przeczuwałam to.

HENRYK.

Uspokój się, moje życie. Zapłaciliśmy je z Ignasiem. Wolimy żeby nam był winien, jak żydom i procentowiczom.

ANNA. (*ściska go*)

Dziękuję ci mój drogi.

KAZIMIĘRA. (*padaje mu rękę*)

I ja Panu szczerze dziękuję za mojego brata.

HENRYK.

Pani droga! a moja obiecanka?

KAZIMIĘRA.

Jaka?

HENRYK.

A ta słiczna rączka — wszak mi ją Pani przyrzekłaś.

KAZIMIÉRA.

O! to było cztery lata temu. Wtenczas Pan nie tak wyglądałeś jak teraz.

HENRYK. (*patrzy w lustro*)

Prawda, że ja teraz obrzydliwie wyglądam. — ale jutro?

KAZIMIÉRA.

Jutro? — obaczymy.

JÓZEF. (*za sceną*)

A niech tam w Kuźni trochę zamiotą i piaskiem usypią.

HENRYK.

Biedny on, jak pająk pajęczyną, tak się osnuł swoją fabryką. Patrz na mnie miła Anusiu (*bierze ją dwoma palcami za policzki — na to wchodzi Józef z resorem w rękę*)

J Ó Z E F.

A toż znowu co? — Anusiu! coż to za konfidencje.

A N N A.

Ale cożem ja winna, kiedy...

J Ó Z E F.

Mój mosanie! może to u was tam uchodzi; a nasze Panie nie lubią takich prostackich umizgów.

H E N R Y K. (*śmieje się*).

Ein kuss im ehren! (*postrzega resor, z zadziwieniem*) *Ej! du lieber Gott!* — proszę mnie to pokazał (*bierze i opatruje z ukontentowaniem*).

J Ó Z E F. (*do kobiet*).

A co? zadziwił się Niemiec.

H E N R Y K.

Vortreflich!

JÓZEF.

A widzisz Niemcze, że *vortreflich*.

HENRYK. (*probuje sprężystości*).

Ein meisterwerk, bej meiner Ehre!

JÓZEF.

Niechno to jeszcze będzie wykończone!

HENRYK.

Gdzie Pan żelazo kupił? Ja wiział wszystkie sklep w Berdyczow gdzie żelazo przedadzą, a takie nie widział.

JÓZEF.

Zelazo z Berdyczowa — ale hartuje się u mnie. — To stal, stal.

HENRYK.

Dobry majster Pan miał.

Pam. Umysł. T. II.

9

JÓZEF. (*kłepie go po ramieniu*).

I sam znam się na tém — to grunt.

HENRYK.

Ja chciał zaraz obaczyć Pański fabryk.

JÓZEF.

Chodźmyż — chodźmy.

HENRYK.

Ja zaraz mówił na ten głupi Żyd, gdzie Pan wziął żelazo, że Pański fabryk *vortreflich*. A on mówił że musiał być nie dobry, bo Pan jemu winien *zehn tausend gulden*.

JÓZEF. (*na stronie*).

O szelma żyd!

HENRYK.

A ja jemu mówił że on lgaj — że

Pański fabryk *vortreflich!* On mnie pokazuj Pański wexel. — Ja zaraz dobywaj z mój pugilares *zehn tausend gulden* i na głupi żyd zapłać — a Pański wexel brał — bo ja wieział, że Pan mi zaraz wrócił moj pieniądz — *nich wahr?*

JÓZEF. (*na stronie*).

A to mi diabli nadali — takiego przyjaciela, z kąd ja mu wezmę.

A N N A.

A widzisz Józiu! a przedemną to sekret.

K A Z I M I É R A.

Otoż to twoje fabryczne zyski.

J Ó Z E F.

Czyż wy jemu wierzycie.

H E N R Y K.

Wie so? ja klamaj? — Pański fa-

bryk *ist gut*, ale ja nie klamaj — bardzo prosil mnie tego nie gadaj. Ja zaplacil mój pieniądz i mnie mój pieniądz oddaj. (*pokazuje rewers*) czyj to rąk?

JÓZEF. (*na stronie*).

Kara boska (*głośno*). Ale Panie Sztok! czyż zaraz tak się gniewać.

HENRYK.

Bo ja nie klamaj — Pan myślał że ja nie wiedział tutejszy form? Ja zaraz zaprzęgaj swój koń i jechaj na Sąd i wracaj tu mit der Policey, i zabiéráj panu cały Fabryk.

JÓZEF. (*na stronie*)

A żeby cię piorun trzasł. — (*do kobiet*) Macieź czego śmiać się.

HENRYK.

Pański żon ze innie się śmiej —

Pan mnie gadaj *grobes zeug* ja tego nie cierpiał. Mnie mój pieniądz dawaj, albo ja jechaj zaraz na Sąd.

JÓZEF.

Jedź sobie do diabła — (*siada*)

A N N A.

Przepraszam Panie Sztok! czyż Pan możesz myśleć żebym ja się z Pana śmiała.

H E N R Y K.

No, no, ja się już nie gniewaj, jeśli Pani mówi przepraszaj. Pani tak miło mówi przepraszaj; *mit Nachtigallen stimme*.

A N N A.

A co się tyczy tego długu, P. Sztok, nie możnaby zaczekać? my teraz nie mamy.

9*

HENRYK.

Jeśli Pani mówi zaczekaj, ja dla
Pani zaczekaj *mit Vergnugen*.

JÓZEF. (*na stronie*)

Gotów się doprawdy zakochać —
nie dureńże to?

HENRYK.

Tylko ja prosił, żeby Pani mnie
napisał tu, na swój słiczny ręk, że
ja swój pieniądz odbieraj.

ANNA (*pisze*).

Z ochotą P. Sztok.

HENRYK.

Teraz ja już Panu nie turbuj głowa
na mój dług — a chciał obaczyć
Pański fabryk. A miał Pan model von
Brandmejer?

JÓZEF.

Naturalnie, że mam.

HENRYK.

A umiał Pan zrobić dobry Buksz?

JÓZEF.

Może myślisz, że u mnie się nie robią mosiężne Buksze?

HENRYK.

Zrobił mosiężny buksz? *ist gut.*

JÓZEF.

Albo że Osie nie toczone?

HENRYK.

Toczony oś! *ist vortreflich.*

JÓZEF.

Albo może myślisz że *sztyce* nie cienkie? *tragery* nie delikatne?

HENRYK.

Inny Polski fabryk nie umiał zrobić delikatny.

JÓZEF.

Inne — ale nie moja.

HENRYK.

Bo nie miał Bukowy drzew.

JÓZEF. (*zrywa się*)

Ja nie mam bukowego drzewa! ja?
Ale pójdźże piérwej obacz Niemcze!
a potém będziesz gadal.

HENRYK.

Ja wohl! ja chciał zaraz obaczyl:

JÓZEF. (*bierze go za rękę*)

Chodź-że, chodź.

WALENTY. (*wchodzi*)

Do stołu dali.

JÓZEF.

A, idź tam sobie do djabła — zaczekać trochę.

HENRYK.

Ja, ja — idź do diabła — zaczekaj trochę — obiad zaczekaj (obraca się z grymasem do kobiet) Nicht wahr? O! du holdes ding! (Wychodzą)

ANNA.

Warjat!

KAZIMIÉRA.

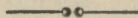
Chodźmy jeść — ich nie doczekamy. (*wychodzą śmiejąc się*).

WALENTY (*po chwili*)

Teraz zgłupiałem zupełnie. — Był jeden fabrykant i było źle; a teraz ich

dwóch. Nu, dalibóg, jak przyjdą i ze-
chcą jeść, to takiego im dam paskudz-
twa, że im ta fabryka kością w gardle
stanie — popamiętają.

(wychodzi).



A K T II.

*(Inny pokój w domu Panna Zalickiego
Okna otwarte na ogród — wchodzi P.
Kazimiera).*

KAZIMIÉRA. *(sama wygląda przez okno).*

Zdawało mi się że poszedł do ogrodu. Co też to za nieznośna rzecz, że go nie mogę obaczyć, jakim jest w rzeczy samej. Pod tą peruką, za temi wąsami i bokobrodami zupełnie nic nie widać. *(staje przed lustrem poprawia sobie włosy)*. Musi być jednak przystojny. Oczy bardzo ładne i

pełne wyrazu. Tak mi się chciało wczoraj pomówić z nim o czémkolwiek porządném — ani sposobu. — Mój brat zachwycony jego pochwałami ani go chciał odstąpić.

HENRYK. (*w oknie bez peruki i wąsów*).

Panno Kazimiero!

KAZIMIÉRA.

Ach! — czyż się godzi tak mię przstraszać.

HENRYK.

Takżem straszny w mojej naturalnej postaci?

KAZIMIERA. (*pogląda nań ukradkiem*).

Nie dla tego żebyś Pan był straszny — nie, ja tego nie mówię — aleś tak Pan niespodzianie mię zawołał.

HENRYK.

Pozwólże mi Pani teraz powie-
dzieć sobie dobry dzień.

KAZIMIÉRA. (*podając mu rękę, którą
on przytrzymuje*).

Już ja Pana widziałam dzisiaj.

HENRYK.

W peruce i z brodą. Czyż mi tak
było lepiej?

KAZIMIÉRA.

Nie, tego nie powiem.

HENRYK.

Droga Panna Kazimiéro! Pani wczoraj
mówiłaś, że jutro. — To jutro już
przyszło. — Mogęż mieć nadzieję?

KAZIMIÉRA.

Wszakże jeszcze się komedja wa-
sza nie skończyła.

Pam. Umysł. T. II.

10

HENRYK.

To co teraz mówię, do Komedji nie należy. Jest to prośba serio, szczerą, pochodząca z serca przejętego przywiązaniem i szacunkiem dla Pani.

KAZIMIĘRA.

Więc to będzie dramat poważny— Pan przybrałeś ton taki uroczysty.

HENRYK.

Możeż być co uroczystsze jak moja prośba?

KAZIMIĘRA.

Doprawdy nie wiem co Panu powiedzieć. — Czy Pan znasz P. Kazimierza?

HENRYK.

Znam; i wiem żeś mu Pani odmówiła.

KAZIMIÉRA.

Coż Pan ztąd wnosisz ?

HENRYK. (*całuje jej rękę*)

Droga P. Kazimiéro! więc to dla
mojej miłości.

KAZIMIÉRA.

Otoż widzisz Pan, że nie. — Ale on
Kazimierz i ja Kazimiéra — jabym go
wolała Kaziu! a on mnie Kaziu! — i
śludzy śmieliby się z nas. Chciałam
więc uniknąć téj śmieszności, nie
więcej. —

HENRYK. (*puszcza jej rękę*)

I Pani kochałaś — go ?

KAZIMIÉRA.

Czyż to z tego wypada! — Nie, nie
kochałam go.

HENRYK.

Więc Pani kogo innego kochasz.

KAZIMIÉRA.

I to także nie wniosek. Kto Pana takiej Loiki nauczył?

HENRYK.

Męczysz mię Pani.

KAZIMIÉRA.

To idź już Pan, idź — bo wam się nie uda Komedja.

HENRYK.

Ja chcę odpowiedzi P. Kazimiéro.

KAZIMIÉRA.

Po obiedzie. — Idź Pan doprawdy. Anusia zaraz jedzie. Tylko się nie bawcie — żeby się ta farsa czém tragiczném nie skończyła.

HENRYK.

Czémże? chyba, że mi Józef boki wylata, że mu uwożę żonę.

KAZIMIÉRA

Strzeż się Pan doprawdy — on gorączka.

HENRYK.

Czyż to Panią interesuje, żeby mi się co złego nie stało?

KAZIMIÉRA.

Mnie to interesuje, żeby mój brat głupstwa nie zrobił, któregoby potem żałował.

HENRYK.

A gdyby mnie kto wybił, zabił, zastrzelił, toby to Pani nie było przykro?

KAZIMIÉRA. (*filuternie*)

Nie wiem.

10*

HENRYK.

Bądźże Pani zdrowa!

KAZIMIÉRA.

Do widzenia się P. Henryku!

HENRYK. (*odchodzi i wraca*)

Panno Kazimiéro! więc po obiedzie?

KAZIMIÉRA.

A może aż jutro.

HENRYK.

O! ja nie chcę —

KAZIMIÉRA. (*podaje mu obie ręce*)

No, — teraz, teraz — ale idź już Pan.

HENRYK. (*całuje z uniesieniem jéj ręce*)Więc moja? — O jakżem szczęśliwy!
(*wychodzi*).

KAZIMIÉRA. (*sama*)

Zatém stało się! (*zamysła się*) zdaje się, że to powinno być dobrze. Zresztą, wszystko w ręku Opatrzności.

(*Anna wchodzi w kapeluszu i w salopie*)

ANNA.

No, do widzenia się kochana Kazimieru.

KAZIMIERA. (*roztargniona*)

Czy już jedziecie? — Nie jedźcież daleko.

ANNA.

Broń Boże. Pojeździmy trochę po polu, i zaraz wrócimy. Posyłajże za nami natychmiast w pogoń Ekonoma i perswaduj Józiowi. Biedny Józio! bardzo mi go żal, że przez kwadrans będzie myślał, że ja go nie kocham. Czy Henryk nie był tu?

KAZIMIÉRA (*uśmiechając się*)

Nie wiem.

ANNA.

Kłamiesz Kaziuniu! widzieliście się
i dałaś słowo? co?

KAZIMIÉRA. (*całuje ją*)

Podobno.

ANNA.

O! dziękuję ci! dziękuję.

KAZIMIÉRA.

Ale jedź, jedź — i wracajcie. — A
list?

ANNA.

List przyszlę Józiovi od kołowro-
tu, gdzie Henryk ze mną siądzie. A
tu masz karteczkę odemnie z pożegna-
niem. — Patrz jak mi serce bije! jak

gdybym doprawdy jaki występek popęłniała.

KAZIMIERA.

Wstydź się — czyż ta Komedja może cię niepokoić?

ANNA.

Gdyby tylko przydała się na co.

KAZIMIERA.

Bądź pewna że się przyda — ale jedź już.

ANNA.

Nie śmiejże się z Józia — on tak będzie biędny. (*wychodzi*).

KAZIMIERA. (*sama.*)

Wyobrażam sobie, jak się zdziwi mój Pan Brat, że jego czuła połowica wyjechała z Niemcem. Zmartwi się, ani wątpię — ale nic nie szkodzi. Niech

mu się wybija cokolwiek z głowy *mutry, lagi, sztyce*, tylne i przednie *tragery, sztolwaki, szrubstangi, olszruby, saluzy* i te wszystkie wyrazy, których nas ponauczał, a o których exystencji nie wiedziałybyśmy całe życie. (*Walenty wchodzi*). Doprawdy że aż mdło już słuchać o tych mutrach i lagach. Nie prawdaż Walenty?

W A L E N T Y.

Niech P. Kazimiéra mnie spyta. Mnie rynchwy i pukle już dławią, antaby ściskają piersi, a targańcami, nu dalibóg, tak i targa za serce. A jeszcze ten przeklęty Niemiec odbierze Panu ostatek rozumu, któryśmy wywieźli z Krzemienca od P. Matematykowej. — Ale proszę PaniENKI mnie powiedzieć, czego on na naszą Panią tak jakoś pogląda? Mruży Niemczyna oczka, usmiecha się. Pan tego nie uważa, a co mnie, nu dalibóg, to się nie

podoba. Jabym mu takiego Sztoka za-
dał! — co za śmiałość, proszę unieże-
nie przymilać się głupiemu Niemcowi
do takiej Pani jak nasza. Toż on wy-
gląda jak kądzień.

KAZIMIÉRA.

A gdzież on?

WALENTY.

A djabliż go wiedzą. Poszedł za-
pewne *szpaciren*. Tamtędy po za
stajnie przebierał się do kołowrotu.

KAZIMIÉRA.

A gdzież mój Brat?

WALENTY.

Et, lubię, że P. Kazimiéra pyta?
A gdzież ma bydź? Tam zawieszają
nową kolaskę; chce się Pan przed
Niemcem pochwalić.

KAZIMIÉRA.

Ale dokąd to Pani pojechała?

WALENTY.

Alboż ja wiem? na takie zimno i
w deszcz na spacer.

KAZIMIERA

Ona nie na spacer pojechała.

WALENTY.

Nu, toż ja nie wiem. A Pannie nic
Pani nie mówiła?

KAZIMIÉRA.

Nic a nic. I to właśnie mnie dzi-
wi, że mi nie chciała powiedzieć. Co
to za szczególny sekret! Czy wiesz
mój Walenty, i mnie się to coś nie
podobała ta niemiecka poufalość do
mojej bratowej.

WALENTY.

Tfy!

KAZIMIÉRA.

Nie uważałaś ty, że i Pani Józefowa coś tak jakby się nie bardzo za te umiżgi gniewała.

WALENTY.

Panie odpuść, ale nu, dalibóg, że i mnie się coś takiego pokazało.

KAZIMIÉRA.

Ja oczom swoim nie chciałam wierzyć, ale doprawdy, że Pani coś tak miło na niego spoglądała.

WALENTY.

Już kiedy Panna Kazimiéra to postrzegła, to i ja także, nu dalibóg, i ja to widziałem.

KAZIMIÉRA

Czy uważałaś jak przy kolacji on

Pam. Umysł. T. II.

11

prędziutko przy Pani usiadł. Nie chcę grzeszyć, ale bodaj czy ją nie ścisnął za rączkę wtenczas, jakieś podawał półmisek.

W A L E N T Y.

Oj! gdybym ja to był dostrzegł, byłbym w te białe kudły wszystek sos wylał.

K A Z I M I É R A.

Albo dziś rano mnie się to bardzo nie podobało, że zamiast filiżankę, dała mu taką szklanicę kawy.

W A L E N T Y.

I jaką jeszcze! i ja sam ją przynosiłem — i mnie staremu durniowi nic jakos do głowy nie przychodziło.

K A Z I M I É R A.

I najlepsze kożuszki, które zwykle zbierała dla mego brata, oddała Niemcowi.

WALENTY.

Oddała?

KAZIMIÉRA.

Wszystkie.

WALENTY.

Wszystkie? O przekłéty kartofel.

KAZIMIÉRA.

Po śniadaniu Pan poszedł do fabryki; ja poszłam do swego pokoju.

WALENTY.

Ale po cóżbo Panna Kazimiéra chodziła do swego pokoju.

KAZIMIERA.

Czyż mogłam się spodziéwać, że jak wrócé; zastanę...

WALENTY.

Coż Paniénka zastała?

KAZIMIÉRA.

A coż? Niemiec szeptał coś P. Bratowej do ucha, a rękę jej trzymał przy sercu — a potém ją całował.

WALENTY.

Całował?

KAZIMIÉRA.

Długo, długo, całował, pókim ja nie kaszlnęła:

WALENTY.

Trzebaż było zaraz kaszlnąć.

KAZIMIÉRA.

Ja stałam jak wryta i nie wiedziałam co poczyć. Aż dopiero jakem kaszlnęła, Niemiec odskoczył jak oparzony.

WALENTY.

A Pani?

KAZIMIÉRA.

Pani zaczerwieniła się jakby kto na nią nasypał żaru.

WALENTY.

O! biedny Panicz, chcę mówić, Pan.

KAZIMIÉRA.

Ale dokąd to Pani pojechała! Doprawdy, że mnie to bardzo niespokojną robi; którędy pojechała?

WALENTY.

Do kołowrotu.

KAZIMIÉRA.

A Niemiec którędy poszedł?

WALENTY.

Także do kołowrotu.

KAZIMIÉRA

Walenty! ja się boję nieszczęścia.

W A L E N T Y.

P. Kazimiéro! Panienczko! duszko! coż zrobić?

KAZIMIÉRA. (*niby znajduje karteczkę*).

Ach! nieszczęście!

W A L E N T Y.

Coż takiego? mów Panna.

K A Z I M I É R A.

Pani wyjechała — Pani uciekła — z Niemcem.

W A L E N T Y.

A Słowo stało się ciałem!

K A Z I M I É R A.

Biegaj Walenty! poszlij Ekonoma z ludźmi — niech ich dogonią, niech zawrócą.

W A L E N T Y.

Biegnę.

K A Z I M I É R A.

Biedny mój brat! — ta przeklęta fabryka!

W A L E N T Y.

Jeśli jej nie podpale, to bodaj mnie wszyscy diabli wzięli; bodajem się z tego miejsca nie ruszył..- bodaj..

K A Z I M I É R A.

Ale ruszaj że się—ruszaj.

W A L E N T Y.

Idę — o! poczekaj ty pludrze! (*wychodzi*).

K A Z I M I É R A. (*śmiejąc się siada*).

Poczciwy Walenty! — Doprawdy, jak pomyśle o moim bracie to mi się

i śmiać chce i żał mi go szczerze. Mój Boże! jak to pochwały mogą zaślepić najrozsądniejszego człowieka! Nie widzieć w tém wszystkiem co go otacza że to farsa i mistyfikacja; uwierzyć, że jego powozy biorą górę nad wiedeńskimi! wyobrazić sobie, że fabrykant jadący dla spekulacji zboczy kilkanaście mil z drogi, żeby obaczyć fabrykę, z której wychodzi na rok kilka mizernych powozów! potrzebaż prawdziwej ślepoty. — Tyle mówią o miłości własnej tych nieszczęśliwych Poetów. Prawda, nic łatwiejszego jak w każdego z nich wmówić, że ma genjusz. Ależ nie oni jedni tylko tacy łatwowierni. A my kobiety? któraż z nas nie uwierzy że śliczna, jeśli jej kto zręcznie to powie? A panowie fabrykanci? lepsiż od autorów i kobiet? — Ale otoż i mój brat. Nie wiem do prawdy jak się utrzymam w swojej roli.

JÓZEF. (*wchodzi szybko*).

Gdzie to P. Sztok? czekam go, czekam, posyłam — nie wiedzieć gdzie się podział. — Kaziu! co tobie? tyś zmięszana!

KAZIMIERA

Ja nie wiem.

JÓZEF.

Czego nie wiesz?

KAZIMIERA.

Gdzie P. Sztok — tu go wcale nie było.

JÓZEF.

Czyż to przyczyna twojej niespokojności? gdzie Anusia?

KAZIMIÉRA.

Ja nie wiem.

JÓZEF.

Cożbø ty nie wiedziéć po jakiemu odpowiadasz. Czy się co złego stało? — Co robi Anusia? czy nie chora?

KAZIMIÉRA.

Jéj nie ma — wyjechała.

JÓZEF.

Wyjechała? dokąd?

KAZIMIÉRA.

Ja nie wiem. — Sądżę żeś powinien lepiej o tém wiedziéć.

JÓZEF.

Coż ja mam wiedziéć — ja nic nie wiem. Nie slyszalem nawet kiedy wyjechała. Coż to znowu za fantazja jezdzic na spacer samej jednej, kiedy tak chłodno i dęszcz pada.

KAZIMIERA.

Ale to nie spacer mój bracie — Anusia wyjechała....

JÓZEF.

Dokąd? po co? — fe Kaziu! to żarty nic do rzeczy, ja ich nie lubię. — I tobie nic nie powiedziała dokąd jedzie?

KAZIMIERA.

Ani słowa.

JÓZEF.

Przyznam się, to rzecz szczególna.

KAZIMIERA.

I mnie to nie mniej dziwi, jak ciebie — tym bardziej. że i tego Niemca nie ma.

JÓZEF:

Coż Niemiec może mieć wspólnego

z wyjazdem Anusi? Czy pojechali razem?

KAZIMIĘRA.

Może.

JÓZEF.

Kaziu! to już nadto. Mogę się serio rozgniewać.

KAZIMIĘRA.

To się gniewaj. Czyż to moja rzecz pilnować twojej żony?

JÓZEF.

Pilnować? czyż jej potrzeba pilnować? — bardzo proszę więcej mieć szacunku dla mojej żony.

KAZIMIĘRA.

Obrażaj się sobie jak chcesz; ale ja wiem, że więcej mam powodów

ciebie żałować, niż szacować twoją
żonę.

JÓZEF. (*przełęczony*).

Kaziu! co ty mówisz? ty nie szacujesz jej? ty, coś ją tak kochała!

KAZIMIÉRA.

Biédny Bracie! ona cię porzuciła.

JÓZEF. (*z krzykiem*).

Jezus, Marja! (*wybiega i spotyka
we drzwiach Walentego z listem w ręku*)
Od kogo to?

WALENTY.

Stróż od kołowrotu przyniósł. Pani
mu oddała.

JÓZEF.

Dokąd Pani pojechała — czego się
tak trzęsiesz? — gadajże.

Pam. Umysł. T. II.

W A L E N T Y.

Nie wiem — dalibóg nie wiem — niech Pan.. ot tam obaczy — Pani pojechała... z Niemcem.

J Ó Z E F.

Z Niemcem? czyś ogłupiał — a, to jej ręka. (*rozpieczętowuje i przebiega prędko*). Otoż to wierność wasza! wasza miłość! co pomoże wychowanie! co przysięga! — Pięknie! ładnie — pierwójbym się był śmierci spodziewał. — Mój ty Boże! a ja ją tak kochałem (*rzusa się w krzesło*).

W A L E N T Y.

Biedny Panicz!

JÓZEF. (*zrywa się*).

Konia! konia mi dajcie — zastrzełę bestję jak psa. — Idźże! prędzęj konia.

KAZIMIERA. (*zatrzymuje go*).

Uspokój się braciszku! już posłałam.

WALENTY.

Ekonom poleciał z trzema ludźmi.

JÓZEF.

Posłałaś! dobrześ zrobiła. — Nie, nie, zleś zrobiła. Ja jej nie chcę widzieć. Miły Boże! z tém delikatném zdrowiem — zdawało się, że wszystkie w niej uczucia pełne sumiennej drażliwości; że wszystko w niej powinno się zerwać na samą myśl jak mię zrobi nieszczęśliwym! Nie, nie, nie wierzyć tym pajęczym istotom — u nich nerwy jak postronki.

WALENTY.

Biedny Panicz!

JÓZEF.

Ale nikomu się nie dziwię jak tobie.

Ciągle bądź razem, i nic nie widzieć, niczego się nie domyślić, nie zrobić uwagi, nie wyperswadować, nie ostrzedz — to prawdziwie nie do uwierzenia.

KAZIMIÉRA.

Ale czyż mogło mi co podobnego przyjść do głowy. Z głupich umizgów Niemca śmiałyśmy się razem — a zdawało się że ona cię tak kocha.

JÓZEF.

Nie prawdaż! zdawało się — i tobie się zdawało? — a tobie Walenty nie zdawało się?

WALENTY. (*ocierając łzę*).

Jaby był przysiągł.

JÓZEF.

Byłbyś przysiągł? — o! i jabym był

przysięgi. Wierzże tu ich miłości! —
Te błękitne oczy, takie jasne, takie
czyste jak niebo! tyle w nich prawdy,
tyle przywiązania — i nie dawno tak
słodko na mnie patrzyły — i to wszystko
był fałsz, udawanie, chytrość, hypo-
kryzja! — i teraz temiż samemi oczami
patrzy na tego wiedeńskiego Mie-
szczucha! — i coż w nim znalazła? —
czerwone pyski i białe kudły!

W A L E N T Y.

Biedny Pan Józef!

K A Z I M I E R A.

Ale coż ona pisze?

J Ó Z E F.

Na, czytaj, czytaj, co pisze.

K A Z I M I E R A. (*czyta*).

„Józiu! boli mię to, że cię muszę
zmartwić!“

12*

JÓZEF.

Ją to boli! — Nie prawda — O! fałsz jest najistotniejszym pierwiastkiem kobiecego serca. Od dzieciństwa uczała was łąć, kłamać, udawać. A my zbieramy owoce takiego wychowania; a my osły, wierzymy waszym oczom; a my głupcy, przywiązujemy do każdego słowa waszego pudową wagę. — Czytaj, czytaj dalej. (*siada*).

KAZIMIERA. (*czyta*).

„Przestałeś mię kochać.“

JÓZEF.

Ja przestałem ją kochać? — O powinienbym przestać — i przestanę. A przecież, teraz jestże to w mojej mocy. (*płacze*) ja ją tak kochałem.

WALENTY. (*podchodzi z wodą*).

Cożbo Pan — czyż to warto tak

się alterować? (*głaszcze go po twarzy*)
fe! Paniczu! — Oj! poczekaj ty Szwa-
bie! — Niech się Panicz napije — nu,
fe-bo P. Józefie (*zaczyna płakać*) do-
prawdyż-bo Józiu! fe!

J Ó Z E F.

Zostaw mię Walenty. — Czytaj,
czytaj.

KAZIMIÉRA. (*czyta*).

„Zaniedbałeś mię.“ — Już co to, to
prawda mój bracie!

J Ó Z E F.

Prawda! — czyż nie było innego spo-
sobu? nie mogłaż mi powiedzieć? —
O! to wykręty, nic więcej.

KAZIMIÉRA. (*czyta*).

„Zaniedbałeś gospodarstwo, i prze-
„niosłeś nademnie i dzieci twoje fa-
„brykę.“

W A L E N T Y.

I to także prawda Paniczu! — ta przeklęta fabryka wszystkiego narobiła.

J Ó Z E F.

Milcz ty stary durniu!

KAZIMIÉRA. (*czyta*).

„Pomyślałam więc, że jeżeli mam „bydź żoną fabrykanta zaniedbaną, od „lużoną i biedną; to wolę bydź żoną „fabrykanta Niemca, który umie pro- „wadzić swoje przedsięwzięcie z zy- „skiem dla swojej familji; i umie po- „godzić uczucia męża i Ojca z miło- „ścią swego rzemiosła.“ — Czy wiesz braciszku, że to wcale rozsądnie napisano.

J Ó Z E F.

Znajdujesz to rozsądnem? — Może tu i jest rozsądek, ale gdzie uczciwość,

gdzie delikatność, gdzie wiara, gdzie cnota? — Możem ja trochę i za nadto przywiązał się do tej fabryki; ale czyż dla tego potrzeba było porzucić męża, dzieci, okryć się wstydem, zostawić taki przykład córce? (*powstaje*) fe! fe! fe!

W A L E N T Y.

Fe! fe!

K A Z I M I E R A.

Ale i ja tego nie pochwalam.

J Ó Z E F.

Jakiem czołem teraz spojrzę mi w oczy? — jakim.... ale nie, nie, to byź nie może — to jakieś zaślepienie, opętanie.

W A L E N T Y.

Niemiecka sztuka. —

J Ó Z E F.

Cicho! coś słyhać.

W A L E N T Y.

Przyprowadzili ich.

J Ó Z E F

O! poczekajcież

KAZIMIÉRA. (*zatrzymuje go*).

Fe! Józiu! zmiłuj się — głupstwo zrobisz.

W A L E N T Y.

Niech Pan nie idzie.

J Ó Z E F.

Puszczajcież mię. —

K A Z I M I É R A.

Rób co chcesz, bij mię, a nie puszczę cię. Tyś gorączka, jeszcze przyjdzie do nieszczęścia. Najlepiej ją ukarzesz, jeśli będziesz zimnym. Szy-

derstwo mocniej ją ukole niż twój gniew i rozpacz.

J Ó Z E F.

Masz rację — O! masz wielką rację. Dziękuję ci za dobrą radę. Będę zimnym — tak, będę zimnym, jak lód.

(ANNA *wchodzi nieśmiało*).

Prosimy bliżej — Niech Pani tak nie spuszcza oczu. Proszę podnieść te piękne, niebieskie oczy — podnieś je, podnieś i obacz, żem spokojny. Myślałaś, że mnie zastaniesz w rozpaczy, w gniewie? O! pomyliłaś się Dobrodziko! nie wartaś tego. Że cię tu widzę, to podziękuj Kazi i Walentemu; to oni posłali za tobą nie ja. Jabym był tego nie zrobił, — nie, nie, jak mi Bóg miły. Puściłbym cię był na zgubę z tym szczególnym zwodzicielem, któryby cię potrzywał u siebie a po-

tém wypchnął za drzwi. Bo u Niemca, moja Pani, żona powinna więcej umieć niż ty Dobrodziko — do balei, do kuchni, do rachunków. — To u mnie tylko można było wysypiać się. Ale wolałaś Fabrykanta Niemca? spróbujesz, spróbujesz, — A ja tym czasem jeździć będę po sąsiadach; słuchać będę zimno i bez zmartwienia wszystkich powieści o tobie; będę się śmiał, gdy cię nazywać będą bezwstydną; będę milczał, gdy przy mnie szydzić zaczną z tego pyzatego Adonisa, któregoś wymieniała na mnie, i który cię za pół roku wypędzi.

ANNA. (*podnosi oczy*)

Józiu!

JÓZEF.

Nie patrz tak na mnie. Już to dla mnie wszystko obojętne, ja cię nie kocham.

ANNA.

Józiu!

JÓZEF.

O! co za wejrzenie! — Ale nie, nie kocham cię — odwracam się od ciebie, pogardzam płochą i niedorzeczną kobietą, która mogła....

ANNA.

Ależ.. Józiu!

JÓZEF.

Którą kochałem — tak silnie kochałem! — która miała sumienie porzucić mię, porzucić dzieci! — O! powiedz miałaś ty Boga w sercu wyrzec się mojej miłości, wyrzec się niewinnych pieczęt tych Aniolków i zostawić ich sierotami? (*Anna zakrywa oczy — Kazimiera udaje płaczącą — Walenty szlocha*) Ty płaczesz? więc jeszcze została w tobie kropla dawnych uczuć? patrz wszys-

cy tu płaczą — i ja o! i ja płaczę, boś ty mi była droższą nad życie. (*zakrywa oczy*)

(HENRYK *wchodzi trzymając w rękę perukę*).

(*Po chwili*) Ale gdzież ten przeklęty zwodziciel — O! kara jego będzie przykładną.

(*Zwraca się ku drzwiom — Henryk postępuje i kłania się*)

H E N R Y K.

Da bin ich!

J Ó Z E F. (*zadziwiony*).

Co to jest? Henryk?

H E N R Y K.

Ja, Panie bracie, — a to malenka Komedyjka:

ANNA. (*rzuca mu się na szyję*).

Józiu! najdroższy Józiu! to żarty—

daruj mi. Czyżbym ja-ciebie dla kogokolwiek bądź odstąpić mogła?

KAZIMIÉRA.

Daruj Braciszku! żeśmy cię namęczyli.

JÓZEF.

Niech wam Bóg nie pamięta.

KAZIMIÉRA.

Za to teraz widzisz, jak ci ona droga. Nie przenośże fabryki nad żonę.

JÓZEF. (*ściska żonę*).

Anuleczku! spojrzij na mnie. — Miałaś ty serce tak mię dręczyć?

HENRYK.

Wszystkiemu ja winienem. Ledwie ją skłonił do dania ci tej lekcji. A zasłużyłeś na nią P. Bracie. Uderz się w piersi, i przeproś.

W A L E N T Y.

A ja chory dureń płakałem jak dziecko. — Ale chwała Bogu, że to wszystko nieprawda. Ej! P. Kazimiéro!

K A Z I M I É R A.

A wyprowadziłam cię w pole?

W A L E N T Y.

Nu, nie ma co mówić!

JÓZEF. (*do Henryka*).

Kiedyżes przyjechał?

H E N R Y K.

Niedawno, i dowiedziawszy się o twojej pasyjce, postanowiłem cię podkurować. Słuchajże P. Józefie! to był żart — a teraz mówię serio. Zle robisz. Masz żonę która cię kocha nad życie i o której spokojność i zdrowie powinieneś dbać; masz śliczne dział-

ki których wychowaniem powinieneś się zająć; masz piękny majątek, który wam Bóg dal nie na to, aby go marnować. Nie poświęcajże ważnych swoich powinności npodobaniu, rozrywce, która cię rujnuje.

J Ó Z E F.

Rujnuje? to nieprawda.

H E N R Y K.

Patrz! wexel któryś już widział na 10-tys; wexel w sklepie sukiennym na 6-tys; wexel Aronowi dany na 13-tys. Okrągłych 30-tys długu. Czy to nie ruina?

J Ó Z E F.

Henryku! jakimże sposobem te wexle u ciebie?

H E N R Y K.

Bardzo prostym. Dowiedzieliśmy

13*

się z Ignasiem, żeś się zadłużył. Kochamy cię, kochamy ją — i zapłaciliśmy.

JÓZEF. (*ściska go*).

O! poczciwi! dziękuję wam.

HENRYK.

Poczekaj, nie dziękuj — zrobiłem ci przysługę, ale tylko pod pewnym warunkiem.

ANNA.

O! Józio przystanie na ten warunek, jestem pewna.

KAZIMIÉRA.

Przystań Józefie! ja cię zaklinam.

JÓZEF.

Jakiz to warunek?

HENRYK.

Naprzód: że mi oddasz rękę P. Kazimiéry.

KAZIMIERA.

Otoż to Pan zupełnie nie to mówisz
coś myślał.

HENRYK.

Od czterech lat jest to u mnie głów-
na myśl, która się wplata w każdą in-
ną. (*Kazimiera podaje mu rękę, któ-
rą on całuje*).

KAZIMIERA.

A powtóre co ?

HENRYK.

Powtóre: że porzucisz fabrykę.

JÓZEF.

O ba! ba! na to nie ma zgody.

HENRYK.

Jeśli nie ma zgody, to ja ci ją grabię.

JÓZEF.

Fe! Henryku! ja ci zapłacę procent.
Żebym teraz porzucił kiedy moje ko-
cze poszły w cenę.

HENRYK.

Ale nikt ich nie chce.

JÓZEF.

A we Lwowie?

HENRYK.

Wszak ci to mówił Wilhelm Sztok—
a Wilhelm Sztok ja — kłamałem ko-
chanku!

JÓZEF.

Więc to wszystko bajka?

HENRYK.

Komedja, Komedja mój drogi.

ANNA. (*całuje go*).

Taka prawda, jak to, żem ja ciebie porzuciła, mój Józiu!

JÓZEF. (*z westchnieniem*).

A, niechże wam Bóg nie pamięta.— Słuchajcie! pozwólcie mi jeszcze do nowego roku.

HENRYK.

No, do nowego roku pozwalam.

JÓZEF.

Dziękuję ci Henryku! — Chociaż napsuleś mi krwi dużo, jednak wdzięczny ci jestem; szczerze wdzięczny. — Czy serio chcesz się żenić z Kazią?

HENRYK.

Ale bardzo serio — i mam jej słowo.

JÓZEF. (*łoczy ich ręce*).

Macieź moje błogosławieństwo.
(*bierze czapkę*). Cieszcieź się z sobą —
a ja zaraz przyjdę.

HENRYK.

Dokądże ty?

JÓZEF.

Do Fabryki — (*wychodzi*).

HENRYK.

Pijak! — Nie zdała się na nic nasza
Komedja.

KAZIMIĘRA.

Dajmyź sobie brawo sami.—

K O N I E C .

ROZWAŻANIE

NAUKI OBYCZAJOW

CZYLI

MORALNOŚCI.

przez

X. Z.

ROBERTSON

WILLIAMSON

1870

ROBERTSON

1870

1870

ROZWAŻANIE

Nauki Obyczajów czyli Moralności.



W świecie zmysłowym pospolicie tak wszystko widoczne, że nikt ze zdrowym rozsądkiem nie przedsięwzięje nic niepodobnego, nic, coby możność sił jego przewyższało: ktoż się naprzykład, rozbiega do chwycenia ogromnej wieży na swe barki, żeby ją przeniósł na wysoką górę? W świecie umysłowym, gdzie wszystko zależy od czystej jasności pojęć, sądów i pomysłów, więc od wybitności, ścisłości i dokładności w znaczeniu wyra-

zów mowę składających, zdarza się często inaczej. Nie jeden powodowany zarozumiałością, chęcią zabłyszczenia chwilowego, aczby jak bańka z mydła, zaufany w uroku słów szumnych, przedsięwzię bez gruntownej wiadomości coś utrzymywać, i korzystając z lenistwa ludzi do ścisłego myślenia i rozumowania, nie zdołając wesprzeć lekkomyślnej gadaniny mocnymi zasadami, odurza, ludzi błyskawicą fosforycznych wyrażen, i zamiast pomnażania skarbu czystej wiedzy i prawdy, gra spokojnie w ślepa babkę ze swymi zwolennikami. Ileż to razy nie wypada na nieszczęście słyszeć obruszających bredni moralności! Biedak nie zna ani jej znaczenia ani źródła, z którego pochodzi, lecz że się już wdał w rozmowę, więc plecie i plecie banialuki z instynktu samolubstwa, żeby się całkiem na dudka nie wystrychnął. — *Moralność, moralny, mo-*

ralnie, wyrazy modne, brzmiące; jak-
że się z niemi nie dać słyszeć, aczby
nie w miejscu i często w znaczeniu
najniwłaściwszém!

Owoż, dla czego postanowił rzu-
cić krótkie postrzeżenia o moralności.

Są osoby żądające, żebyśmy się nie
uczyli moralności, jak umiejętności od-
dzielnej, żeby ona zawierała się w na-
ukach teologicznych, i sami Duchow-
ni byli jej nauczycielami. Tak mnie-
mają jeszcze w niektórych stronach,
a co lubo pochodzi z zamiarów czy-
stych, wydaje jednak skutki szkodliwe
nie tylko dla moralności, lecz i dla
samej Religji. Mniemanie takie nastę-
puje z przypuszczenia: ponieważ Reli-
gja i moralność z jednego wypływają
źródła, więc rozłączać ich nie nale-
ży. Zastanówmy się więc uważnie
nad temi głównemi własnościami czło-
wieka, rozbierzmy pochodzenie jed-
nej i drugiej, a uznamy, że się róż-

nią od siebie istotnie; po odkryciu zaś, jak one się, ze sobą połączyły, postrzeżemy dowod, iż trzeba koniecznie wyklądać moralność jak umiejętność oddzielną.

Lubo człowieka na obraz i podobieństwa Boga stworzono, nie jest on jednak Bogiem; siłom jego umysłowym i zmysłowym zakreślono granice nieprześcigłe; odtąd, jak się on zjawił na ziemi, uczą nas dzieje, iż nie przestał łożyć usiłowań na rozszerzenie granic swęj potęgi, co mu się dość szczęśliwie udawało. Wszelako równie za naszych dni, jak i w pierwszych wiekach świata, człowiek znajduje jeszcze w naturze opor, którego zwalczyć nie może; w sferze umysłowej postrzega zjawienia, których nie zdoła pojąć. Zatem uczucia własnej niemocy, podziwienia, cudowności w całej kreacji, nadziei, wielbienia wzbudzają w nim pomysł Boga, najwyższe-

go niestworzonego Władcy, najdosko-
nalszego Mistrza. Ztąd rodzi się Re-
ligja, wyjąwszy Religję objawioną.

Gdy się ludzie łączą w społeczność,
gdy budują sobie chatę albo obierają
naczelnika, gdy nabywają własności
robiąc sobie łuk lub czółno, czują wte-
dy potrzebę wędzidla i pewnych obo-
wiązków; więc stanowią ustawy, i po-
czytują za powinność je spełniać.
Tu powinność, wypływająca z poży-
tku powszechnego, jest zjawieniem mo-
ralności. A tak pierwiastek ustaw i
pierwiastek moralności w jednym się
czasie rozwijają, lubo nie są do siebie
zupełnie podobne. Potrzeba *stanowie-
nia* praw jest początkiem księgi ustaw;
potrzeba *postuszeństwa* prawom, jest
początkiem moralności.

Człowiekowi, wzbudzanemu podzi-
wieniem i wielbieniem, wrodzoną jest
rzeczą, starać się o zjednanie wzglę-
dów Bóstwa poznanego, i dla tego u-

siłuje on wysłedzać, co się temu Bóstwu powinno podobać, co je może obrażać. W pierwiastkowej swej, bardzo ograniczonej wiedzy, nie ma on innego w tym zamiarze sposobu, jak nadawać Jemu własne swe przymioty, podniesione jednak do stopnia najwyższego. Taki to własny utwór pilnie rozważa, a później wnosi: że uchybienia przeciw moralności, rozstrajające harmonią społeczności ludzkiej, powinny się też Najwyższemu Stwórcy nie podobać. Do bojaźni praw, przydaje gniew Boga. Ztąd początek związku między Religją i moralnością.

Te dwie główne zasady porządku społecznego, były w czasach pierwiastkowych odmienne, były następstwem działań umysłowych całkowicie różnych. Człowiek, samotny w pustyni, mógł pojmować Religją; moralność zaś zaczął pojmować wówczas, gdy się z innymi połączył ludźmi.

Atoli człowiek, to jestestwo nadzwyczajne, chcąc podobać się Bogu, zrozumieć ustawy Jego rządów w świecie ciał i duchów, zacząwszy od uwielbiania tego jestestwa, bierze się wkrótce do rozkładania wszystkiego, do głębokiego rozmyślenia o tém, co go otacza. Owoż początek Nauki umysłu, czyli Nauki umiejętności, albo, *niech i tak będzie!* rzetelnej Filozofji.

U pierwszych ludów na ziemi, zawsze się Filozofja z Religji wyradzała. Ale taka Filozofia, pochodząca z Religji, staje się koniecznie nauką moralności; a że mądrość ludzka postępuje bezpieczniej, rozprawiając o rzeczach znajomych i widzialnych, niżeli o takich, jakich nie może znać ani widzieć, ztąd wypada, iż u ludów starożytnych nauka moralności poprawiała zawsze zdrożności Religji. Systemata różnych wiar znikły, lecz moral-

ność istnieje; dzisiaj nawet, zlaną w księżde Chrześcijaństwa, jest naszych zasad moralności podstawą, jest dziedzictwem wiekuistém, jakieśmy dla potomków naszych zostawić powinni niepokalane z prostotą pierwszą.

Okazałem więc teraz wyraźnie pochodzenie Religji i moralności; wystawiłem jak Filozofia usługuje pierwszej, oświeca drugą, jak to wielkie szczęście dla świata że Filozofia, nie pogrążając się jedynie w szperaniach teologicznych, zajmowała się też moralnością, jak nauką rzetelną.

A zatem nauka Filozofji moralnej powinna by bez przeszkody rozwijać się swobodnie i śmiało; Żaden z jej prawych nauczycieli ani pomyśli o targaniu się na naukę Religji, lecz owszem będzie ją wzmacniał, ochraniał i obręb jej rozszerzał. Nie ma Filozofów, nie wyłączając nawet powstających najmocniej przeciwko Religji

objawionej, zblakanych w labiryncie materjalizmu i sceptycyzmu, którzyby się mimo swej wiedzy, i z dwóch różnych względów do utrzymywania i dzielności Religji nie przyczynili. Albowiem naprzód ocucili oni talenta, stali się bodźcami do zgłębiania nauki Kościoła; a przez to zjawili się liczni jego obrońcy, z których Kościół słusznie się chlubi; powtóre, czuwanie Filozofji strzeże czystości Religji zachowując ją razem od srogości fanatyzmu, i od letargu zabobonności. Podobnie jak mówiono, że Rzym utrzymywał swą potęgę przez wytrwałe usiłowania w natężaniu mocy rządowej, do czego męztwem Kartaginy był zmuszany; tak i Religja zachowuje swą dzielność przez śledzenia wolne i ciągłe nauki umysłu. Sławny Doktor Filozofji Reid wyrzekł: „Pisarzów sceptycznych uważam za ludzi zesłanych na robienie wyłomów w gmachu ludz-

kich wiadomości wszędzie, gdzie się on okazuje słaby albo blizki upadku; a gdy się te wylomy naprawią, budowa okaże się mocniejszą i trwalszą, niżeli była pierwiej.“

Jest to skutek pewnych przesądów, pochodzących z niewiadomości, że nauczanie moralności jako umiejętności oddzielnej tak wszędzie się nie zaprowadza, jak we Francji, w Niemczech, ba nawet i w Szkocji. Gdziekolwiek w inne strony rzuci się okiem, wszędzie daje się widzieć brak doskonalenia umiejętności moralnych. Tam i ówdzie przepisują niejakiś prawidła, tworzą się pewne mniemania, zalecają pewne instytucje, lecz najczęściej podług myśli błędnych o przyrodzeniu ludzkim, o koniecznych umysłu działaniach. Rozróżniają niezmiernie cnoty prywatne od cnot publicznych. Wystawiają one sobie jako przymioty, które można mieć jedno bez dru-

gich. Mówiąc o nieprawości urzędnika w życiu publiczném, dodają, iż nie myślą przez to ubliżać bynajmniej charakterowi osobistemu. Opiérając moralność na samej powierzchownej przyzwoitości, dozwalamy wylégać się mniemaniom niskim, występnyim; lichych nałogów życia, poświęconego jedynie widokom własnych korzyści, nie wznoszą pomysły szlachetne i wzniosłe, jakie Filozofia dobrze uprawiana między ludzmi rozkrzewia.

Z powodu ciasnej głowy i ślepoty umysłu wielu mniema, że wiadomości oderwane przeciwią się wiadomościom praktycznym; ale proszę uważać, iż każde prawo niestosowne do ludzi w jakim miejscu, chybiające swego celu, nie dające się spełniać, jest dowodem że nauczyciel nie znał albo ducha prawa przepisywanego, albo ducha ludzi, dla których je sta-

nowił, to jest, że nie mógł się zdobyć na myśl oderwaną.

Gdy umiejętności moralne nie dopomagają Religji, wtedy udajemy się popospolicie do wzbudzania w ludziach bajaźni, do straszenia karami, aby tym sposobem wstrzymywać od przestępstw. Ta zasada tak zwyczajna w postępowaniu duchowném, przechodzi później w wychowanie i w prawa. Wychowujemy nasze dzieci za pomocą różgi. Rządzimy ubogimi przez surowe kary. Usiłujemy zawsze upadłać sobie podobnych przestrachem, zamiast oświecania ich rozumu. Nie tak to przemawiała wielka dusza Bosuet'a, kiedy w pięknej swój mowie z okoliczności *professji P. La Vallière*, znakomity ten kaznodzieja, stara się wznieść ducha do Niebios. Nie mówi on wówczas o przestrachu, o kaźni, lecz o niebieskiej tkliwości, o tém, że się nie trzeba niczego pod

skrzydłami Wszechmocnego obawiać. „Jakaż, pytał on z uniesieniem, jedyna droga, żebyśmy się mogli zbliżyć do Boga i doskonałości?... Oto przez miłość dakazać tylko tego możemy?“ Co za głęboka prawda, która uczy nas szlachetniejszego ducha Religji, uczy nas także trzech zasad: zasady wychowania, moralności i praw! Atoli mowa Bossuet'a nie jest z rodzaju tych, jakie pomiędzy nami słyszeć się dają.

Prócz zbytecznej ważności nadawanej przez nas pozorom, mamy jeszcze wadę sądzić, że moralność wywiera tylko wpływ na związek między płciami. Kto nierozwiązły, tego nazywamy człowiekiem moralnym: ma to jedno znaczyć, co strzedz czystości w życiu, to jest, zachowywać jedną z własności moralnych; a zaś przez niemoralność rozumiemy popolicie niewstrzemięzliwość

w rokoszach miłości. Nie przeczę, że cnota czystości jest niezmiernie ważną, wszelako, ponieważ najmocniejsze oko wzrok nadweręża, kiedy się przygląda ciągle jednemu przedmiotowi, toć podobnie, przywiązując się do jednego punktu obyczajowego, acz najdroższego, uwaga nasza względem innych części moralności tępieje. To zaś najwięcej zimnego postrzegacza zastanawia, iż wyłączne uwielbianie czystości staje się powodem za dni naszych do tak zbytecznego rozkrzewienia się nierządu, któremu nie wszędzie starają się skutecznie zapobiegać. Sprawiedliwie i wielce szanujemy niewiasty prawe, lecz z nadto wzgardzającą nieczułością poglądamy na nieprawę. Nie zastanawiamy się zgola ani nad ich liczbą, ani na tém, co one cierpią, ani nad głębiną obrzydliwej przepaści zbrodni, w jakiej się grążą. W miastach wielkich mia-

nowicie, systematyczne pogardzanie nieszczęśliwych ofiar niewiomości i nędzy, częściej niżeli grzechu, wydaje następstwa arcy szkodliwe. Zdaje się, że gardząc zbytecznie jakim występkiem, przyczyniamy się do tego, iż się on rozgałęzia na mnogość innych występków, równie jak i pierwszy, niebezpiecznych.

Gdzie moralności nie uczą, jak każdej innej umiejętności, tam wszystkie jej prawa stają się próżne, chwiejące się, niepewne; tchną one stronnictwem albo prześladowaniem osobistém, nie jedną osobę towarzystwo prześladowuje za błąd, jakiego inna osoba dopuszcza się bezkarnie. Niejakaś biedna niewiasta daje się uwodzić, i ją nazywają *podłe stworzenie*, inna z wyższego stanu czyni to samo, lecz nad nią się litują i mówią: *nieszczęśliwa Hrabina!* Ktoś z moźnych zle się obchodzi z żoną i ją rzuca; nikt go nie

gani; drugiego biedaka opuszcza żona bez żadnej sprawiedliwej przyczyny, i wszyscy nim gardzą. Byłoby daremnie chcieć wskazywać przyczyny sądów tak różnych; wszystko w nich dowolne i dziwaczne. Pochodzą one już z przychylności niezasłużonej, już z oddziaływania w mniemaniu publiczném, równie niezasłużoném. Przeto, gdzie się tak dzieje, tam moralna nauka nie mamocy, nie wywiera wpływu płodnego i stałego: zawsze skacze tylko, i rzetelne stosunki przeskakuje, raz przywiązując się do form i do imion, drugi raz szanując pozory i wielką możność; łączy się jedynie mocno i trwale z myślą, natchnioną przez ducha możnowładztwa; przez znamienitość urzędową, przez wartość bogactw.

Z tego com powiedział, zdaje się, że z przyczyny dążności przyrodzonej do widoków własnej korzyści,

tudzież do pewnego rodzaju możno-
władztwa niedoskonałego, nie mające-
go nic w sobie, coby duszę wznosiło,
władze umysłu niższe opanowują
charakter wielu osob, bo też do upra-
wy władz wyższych umysłowych i
szlachetniejszych mało zachęcają i sła-
bo one poważają. Życie oglądzone tyl-
ko powierzchowną cywilizacją, zaw-
sze czynne, zajęte szczegółami dro-
bnemi, kłopotącemi duszę, wymaga
potężnego bodźca do widoków rozle-
glejszych, do górnieszych uczuć; agdy
te są rzadkie i słabe, opinia chwyta
się celów niekzemnych i gnuśnych.

Gdy z jednej strony uważamy Re-
ligią, tę córę Nieba, ile obwieszczają-
cą nagrodę za dobre uczynki, a karę za
złe, z drugiej Naukę moralną, ile przy-
kazującą surowo spełniać wszystkie
powinności jak najściślej, postrzegamy,
iż obie te wielkie Nauki mogą działać
oddzielnie, zbawiennie i nader użytecz-

nie w widokach postępu rodu człowieka. Religja, czyli wiara w Boga i w nieśmiertelność, tak koniecznie potrzebna, istnieje sama przez się, bez względu nawet na nagrodę cnoty obiecaną: człowiek religijny żyje pocziwie, bo mu tak Bóg przykazał. I prawa Moralność, przykazująca ćwiczenie się w cnoty, istnieje sama przez się bez względu na Boga, nieśmiertelność i na wynagrodzenie.

Czynić dobrze z bojaźni Boga, w nadziei nagrody, albo z bojaźni kar przyszłych, jest religijnością czyli pobożnością, lecz nie jest swobodą działającego Ducha, czyli cnotą.

— Jednak pobożność targa łańcuchy surowej zmysłowości, przygotowuje ową swobodę ducha, wiedzie do cnoty, i jako taka, jest Religją, jest czcigodnym środkiem do wykształcania ludów. Wiele byłoby wymagać, żeby każdy czynił dobrze dla samego jedy-

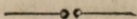
nie dobra , bez bojaźni , bez nadziei ; wiele byłoby wymagać od dziecka żeby chodziło ledwo narodzone , nie wprawiając sił swych stopniami ; wiele od ducha , żeby się bez ćwiczeń poprzędzających okazał nagle i świetnie w swęj mocy , czystości i czynności swobodnej .

Dzięki więc Opatrzności , czuwającej ciągle nad rozwijaniem się całej Kreacji , iż osadziła Religją na tronie , dała jej w ręce berło Niebios i rozkazała rządzić ludzkim plemieniem . Jest to jedyny środek , za pomocą którego możemy się wznosić zwolna od grubej zmysłowości do rządzenia się Słowem Boga , to jest Cnotą niepokalaną .

Pomnijmy jednak , że ustawy moralne odwieczne , w nas zawsze obecne , jednostajne we wszystkich czasach i okolicach świata , przykazują nam , jak mamy działać , uważani jako jęstęstwa stworzone na obraz i podobień-

stwo Boga, jako jestestwa, w które się wdarła drobna iskierka rozumu Bożego. — I gdy tak działam, jakem powinien, podług tych ustaw odwiecznych, wtedy dopiero się staje, *jakim być powinienem*: duchem swobodnym, samo przez się czynnym, zależącym tylko od siebie, pobudzany jedynie przez własną ustawę we mnie samym istniejącą. — Jeśli co czynię jedynie dla mojej korzyści, nie jestem cnotliwy; każde zwierzę czyni podobnie; boi się w niektórych zdarzeniach kary, w innych znowu przygodach czuje przyjemną nagrodę. Cnota żadnej dla się nie żąda nagrody; nie można jej ani kupić, ani zapłacić; żadnej odpłaty nie oczekuje. Spełnia się ona bez względu na skutek sprawy. Dostyc na tém, kiedy ustawa obyczajów działać tak przykazuje. Cnota nie jest co innego, jak *duch cztowieczy działający podług natchnień prawdy i czystego sumienia.*

Duch bez związku z ciałem, albo bez wpływu tego ciała w widokach zwierzęcych, byłby jedynie dobrym, gdyby działał, nie mógłby nigdy działać przeciw moralności; byłby jestestwem świętym, to jest oczyszczonym z wad moralnych. Właśnie przez to nasz duch okazuje w walce swoją siłę, że przemieszkiwa w pokrywie, działającej często przeciw jego ustawie, albo przeciw jego jestestwu. A gdy on sam, i tylko sam działa; gdy, nie dając się kierować korzyściom zmysłowym, nie dopuszczając się powodować ani bojaźnią kary, ani nadzieją nagrody, działa podług własnych ustaw, wtedy jest cnotliwy, to jest swobodny, mocny, sam przez się czynny, czyli jest duchem takim, jakim być powinien, godnym siebie rzeczywiście.



MARZENIA I RZECZYWISTOŚĆ.

PRZEZ

KAROLINĘ SWARACKĘ.



Nie jeden mi powie, że powieść, czy powiastka umieszczona w zbiorowym piśmie, powinna być napisana dla ogółu czytających. Przepraszam najmocniej, że niniejsza jest bardzo daleką od tego, aby się wszystkim przydać mogła. Chcę pierwszy krok w świecie literackim postawić bardzo sumiennie (1) nikogo nie znudzić, nie obu-

(1) Mamy sobie za zaszczyt żeśmy pierwszy otrzymali początkową pracę Autorki znanej uprzednio pod imieniem Pani Koroliny

rzyć. W tym celu, wolę zaraz ostrzedz, dla kogom pisała. Jeśliby sam tytuł nie zraził którego z szanownych Panów uczonych, z całym uszanowaniem, najmocniej upraszam, aby przerzucił tę powiastkę, gdyż nic w niej nie znajdzie, coby godnym było jego uwagi. Wreszcie, nie pochlebiam sobie aby drobna praca jakiejś kobiety, ich wzrok na siebie sciągnąć miała. Pannie, damy wielkiego świata, wielbiicielki Literatury szalonej! nie czytaj-

z H. S. Przepraszamy Ją stokrotnie że dotychczas okoliczności nie pozwoliły nam wydrukować tej pierwszej próbki pięknego jej talentu, jak równie i za to, że ośmielamy się odkryć jej pseudonym; bowiem po pięknych odezwach Wydawcy Athenaeum o jej talencie i po wydrukowaniu właściwego nazwiska pod artykułem „Nawrócona“ (patrz Zeszyt 2, oddział 4. Ath.) uważamy pseudonym za rzecz niepotrzebną.

(Wyd.)

cie tej powieści. Ona się wam na nic nie zda, ani was zabawi. Nie znajdziecie tu żadnej rozumnie prowadzonej intrygi jak u pani Dudevant; silnych wrażeń, mocnchy charakterów, nic zgoła wspolnego z Dumasem, Šue. Jest to sobie słaby szkic, słabą skreślony ręką, dla moich młodych przyjaciółek, które, albo w domowem zaciszu skończywszy mozolne obcowanie z książkami, lada moment rzuca się w ten tak upragniony świat aby z całym zapalem dziewiczej duszy, uwielbiać wszystko, co nie koniecznie zawsze jest godnem uwielbienia; lub z klatki pensjonu, leca w nieznany świat, nie przewidując, że są zli ludzie, że jest fałsz, obluda. Wierzą wszystkiemu i wszystkim. Co więcej stworzą w młodej wyobraźni; ludzi Aniołów i szczęście nieznane śmiertelnym. Jak smutno potóm, kiedy tuż tuż za temi marzeniami przyjdzie do-

świadczenie i żelazną ręką otworzy oczy!..

II.

Pani Duval Francuzka Madame utrzymywała od lat kilkanastu pensję w Mieście N. Na końcu miasta zajmowała ona dóm obszerny z pięknym ogrodem, w którym po całodziennej pracy pensjonerki niewidziane od niko-go, słysząc tylko turkot i gwar na ulicy, przedzielonej od nich sążnistym parkanem, w pełnej swobodzie oddać się mogły zabawom.

Jednego razu, było to w miesiącu Czerwcu, słońce już żegnało nasz horyzont, pensjonerki biegały po ogrodzie, pani Duval z panną Augustą guwernantką siedziały na progu drzwi prowadzących do ogrodu, okiem i uchem śledząc ile możności postępowanie uczennic swoich. Czterdzieści panienek skła-

dało pensję. Ogród w tej chwili był bardzo ludnym, oprócz części jego od wchodu, w której się znajdowała Madame z guwernantką. Część ogrodu najbardziej od wspomnianej oddalona, zdawała się mieć wdzięk niewymowny dla młodych dziewcząt. Tam to, pod jednym drzewem, nucąc sobie zamiast muzyki, tańczyły kontradansa; pod drugim mazurka; ówdzie grały w kotka z myszką; gdzieindziej, kilkoletnie dzieci robiły lalki, niektóre chodziły z książkami w ręku, z tych jedne: raz spojrzą w książkę, znowu patrząc w Niebo powtarzają na pamięć, co się nauczyły, niekiedy zatrzymują się około igrających towarzyszek i łączą się do ich rozmowy; drugie: całe zatopione w książce, zdają się nic nie widzieć, nic nie słyszeć, uciekają jak najdalej od wszelkiego gwaru, zapytane nieodpowiadają, niekiedy tylko zwracają oczy na Madame i pannę

Augustę. Może mnie kto powie, że te pilniejsze od pierwszych, z całą usilnością starają się odpowiedzieć obowiązkom swoim. O nie! myli się kto tak sądzi. Pierwsze się uczą, drugie czytają romanse; powieści-Smutny byłby los wprawdzie tych książek, gdyby się dostały w ręce pani Duval lub panny Augusty. Zostałyby pastwą płomieni, a biedne literatki srodzeby za przestąpienie zakazu odpokutowały, lecz szczęściem dla nich, z okładki treści poznać nie można, a Madame ani panna Augusta czytać po polsku nie umiały, łatwo więc wzięść modny romans za Grammatykę lub Historją.

W jednej ubocznej ulicy chodziły dwie panienki wolnym krokiem prowadząc półgłosem rozmowę. Marja wysmukła brunetka, pełna wdzięku, godności w każdym poruszeniu, na której czole wyniosłem, obok szlachetnej

dumy, malowała się nieugięta moc duszy; w oku czarném, przy czułości i łagodności, był jakiś wyraz, który ją razem za pierwszym wejrzeniem kochać i szanować kazał. Słowem, Marja była jedną z tych istot, którą jest dosyć raz widzieć, aby obraz jej, na zawsze pozostał w pamięci naszej. Druga świeża blondynka, piękna i wesola. Dobroć i łagodność były cechą jej twarzy. Dla śmiechu i szczęścia zdawała się być stworzona. — Wandeczko, rzekła Marja, — za dwa tygodnie examen, a potem — potem — ruszymy w świat. Żal mi, że się z tobą rozłączę. Ale powiedz mi o czém myślisz najwięcej rzucając ustronie, gdzieśmy lat ośm razem pracowały? — O czém myślę? — rzekła Wanda i podskoczyła śmiejąc się. — Ale ty Maryniu, wszystko bierzesz serjo, dla tego lękam się tobie mówić, o tysiącnych moich projektach... Ty się już śmie-

jesz. Śmieję się więc kochana, a ja będę mówić. Wiesz przed trzema miesiącami, kiedy z Ciocią była na balu, pierwszym raz zobaczyła tak wielki świat, tak wielu ludzi strojnych, grzecznych, rozumnych; bo wiesz, *chere Amie*, nikogo nie było nierozumnego; tam każdy o wszystkim mówi tak pięknie, rozumuje śmiało. Nade wszystko ujęła mnie anielska dobroć tych ludzi. Odtąd o niczem nie myślę, tylko o balach, o dobrych ludziach. Kiedy mnie, nie znającą zupełnie zwyczajów światowych, przyjęli z takim uwielbieniem, każdy mi coś bardzo grzecznego powiedział, coż dopiero będzie, kiedy się od nich nauczę być równie mowną, uprzejmą. Do tego balu nie miałam tak dobrego wyobrażenia o sobie. Powiedzieli mi, że jestem piękna, bardzo piękna. Droga Maryniu, czy to prawda? — Prawda, — uśmiechając się rzekła zapytana, — ale nie można całe

życie być na balu, powiedz mi co będziesz robić? — Co będę robić? Ot jak to widać, że ty jeszcze nie byłaś na balu. Wiiesz z nauki Religji, że obowiązkiem każdego człowieka, jest kochać wszystkich ludzi; bal mnie nauczył, że to jest najłatwiejszy obowiązek, bo nie można nie kochać tych, co tak są dobrzy, uprzejmi. Kochając będę myśleć o nich i to mi czas zajmie, od jednego do drugiego balu. Potem się kto we mnie zakocha, jak Ludomir w Malwinie, pamiętasz czytaliśmy nie dawno. Albo może jaki poeta, co będzie ciągle dla mnie i o mnie pisał. Jakież to będzie szczęście! Mnie się zdaje, że najlepiej być kochanką poety, bo poeci mają najczulsze dusze. Potem pójdę za mąż, bo to jak mówią, przeznaczenie kobiet. Może za jakiego Księcia, albo Hrabiego, wszak to tylko podobać się trzeba, aby pójść za mąż. Wtenczas będę panią moją

woli, będę ciągle jeździć, u siebie przyjmować, tak, że całe życie moje, będzie jednym długim balem. — Podskoczyła, klasnęła w dłonie i ucałowała przyjaciółkę. Marja milczała. — A ty Maryniu, ty nasza Sapho, co myślisz? Aż mi strach, jak coś bardzo rozumnego usłyszę. — Kochana Wandeczko, — rzekła Marja, — jakże się różnimy! ani jednej myśli podobnej do mojej, ani jednego życzenia! Wszystko ci powiem, co myślałam kiedy i co teraz myślę. Przed dziesięcią laty, w piątym roku życia, czytając z dobrą matką moją, *Helenkę*, spytałam ją, kto to napisał, co ja czytam? — Panna Tańska, — rzekła Mama. — Ona być musi bardzo rozumna, — zapytałam znowu. — O bardzo, i ty być możesz rozumną, — dodała Mama, aby mię zachęcić do czytania, — jeśli się dobrze uczyć będziesz. Te słowa matki, wcieliły się w myśl dziecinną. Od-tąd nikt mi nie potrzebował przypo-

minąć o książce. Odtąd we wszystkich zabawach dziecinnych, byłam Panną Tańską. W sześć lat później będąc na Święta w domu, zajęłam się jakąś robotką, matka z ojcem czytała w drugim pokoju. Wtém głos Mamy dał mi słyszeć te słowa: „o jak ta Tańska dobrze pisze!“ A ja w duszy pomyśliłam sobie: droga matko kiedyś to samo powiesz, o córce swojej. Powróciłam do pensji. Z większą jak dotąd usilnością wzięłam się do pracy. Poznałam pani de Sévigné, Staël, tyle innych i postanowiłam im wyrównać. Dziś cieszę się serdecznie, że wycho-dzę z pensji, bo będę się uczyła wszystkiego, czego uczą mężczyzn. Mam już na to zezwolenie dobrej mojej Matki. Może moje życzenia są nadto śmiałe, ale teraz sława autorki nie zadowolni mnie. Chcę mieć sławę europejską, chcę wyrównać najuczeńszym mężczyznom i aby imię moje zapisane w nie-

śmiertelnej księdze, przechodziło z ust do ust, w najpóźniejsze pokolenia. Całe życie pracować będę, ale cel mój osiągnę. — Gdy to mówiła, cała jej postać pełna godności, zdawała się potwierdzać te słowa.

III.

We cztery lata po rozejściu się naszych przyjaciółek, jednego dnia w Maju, w mieście N. panował ruch nadzwyczajny. Tego dnia bowiem był wielki bal u księcia B:—O godzinie dziesiątej wieczorem, około jego mieszkania wyminąć się trudno było z pojazdami. Oświetlone sale ledwo pomieścić mogły, świetne towarzystwo osypane kwiatami, piórami, perłami. Przepych, strój i wdzięki walczyły z sobą o pierwszeństwo. Bal się już miał ku końcowi, kiedy piękna blondynka, otoczona ciągle gronem nadskakującej młodzieży, królowa balu, znajoma nam

Wanda S. wyrzekłszy do ciotki słów kilka, o nieznośnym bólu głowy, wyszła z młodszą siostrą do ogrodu. Orzeźwiona świeżem powietrzem chce wracać do sali, wtém w przyległym pokoju, usłyszała wymówione swoje imię. A jak ciekawość jest wrodzoną wadą kobiet, i Wanda jej uległa. Może zaoznie chciała odebrać ten hold, który ją wszędzie spotykał.— „P. Adolf, nasz kochany poeta, — rzekł jeden głos, — dziś jest uniżony sługa, naszej pięknej Królowej—Ludwikim był wczoraj, — odrzekł zagadniony, — a że go odprawiono, dziś ze mnie żartuje. Ja zaś ani myślę a tej lalce. *Bonne enfant* ta Wandeczka, wierzy we wszystko, co jej powiesz, o to mnie bardzo bawi. Przed chwilą powiedziałem jej; że nie ma równej sobie na ziemi. *Ma foi* uwierzyła temu, bo się wdzięcznie uśmiechnęła.— O ona się usmiecha, — dodał inny, — patrzy na wszystkich z góry, czeka na

księcia i w końcu, starą panną zostanie.— Nie ma się też za czem ubiegać, — rzekł odrzucony kawaler, — nieszpeta sobie, ależ to nie osobliwość i praczki są piękne. — Na te słowa weszły do pokoju dwie damy, serdeczne przyjaciółki Wandy, które zawsze jej zalety pod niebiosa wywyższały. — O kim panowie mówią? zapytała jedna z nich. — O pannie Wandzie, — odpowiedzieli razem. — Dość piękny przedmiot, ale szkoda, że o nim nie wiele powiedzieć można, — rzekła któraś złośnica. — Biedna Wanda wysłuchawszy całej tej rozmowy, odczarowana, zawiedziona we wszystkich marzeniach swoich, aby położyć koniec tej męczarni weszła do pokoju. Nie chcąc pokazać swego wzruszenia, nie spojrzała na nikogo, minęła niezyczliwe sobie towarzystwo, zbliżyła się do ciotki, nie wiem co jej powiedziała, ale zaraz opuściły bal. Odtąd żadna świetna zabawa,

nie widziała jój więcej. W rok potem w mieście N. mówiono: o skromnym i cichym weselu pana Z, urzędnika, dobrą mającego posadę, z panną Wandą S.

IV.

W dziesięć lat od epoki, w której zaczęliśmy tę powieść, w pięknej okolicy nad Niemnem, widać było dom mieszkalny, w nim, jak mówili, okoliczni wieśniacy, mieszkała młoda dziedziczka, która przed rokiem straciła matkę, a która prócz książek nie wiedziała o Bożym świecie. Dla tego: pola, zabudowania i wszystko, co należy do gospodarki, było w najgorszym stanie. Wszedłszy wewnątrz tego domu, za każdym krokiem, można spotkać ślady nieporządku. W tym to domie, w jednym pokoiku, którego ściany formowały szafy z książkami, przy stoliku zarzuconym papierami, siedzi nasza Maria, z pismem jakimś

w ręku. Twarz jej pała, cała dusza zda się przeszła do oczu, z taką chciwością i upodobaniem czyta wyrazy zamknięte w tém piśmie. Było to, jakieś pismo czasowe, a w niem recenzja na dzieło Marji, dzieło, które jej kilka lat mozolnej pracy kosztowało. Ale raptownie twarz jej śmiertelna okryła bladość, ręka zadrżała i upuściła papier. Przez chwilę Marja zdawała się być w rozpacz, ale przez chwilę tylko, bo Marja miała moc duszy. Podniosła upuszczony przed chwilą papier i rzekła chociaż pełnym boleści, ale razem spokojnym głosem. Otoż jest ta sława, dla której wyrzekłam się najśłodszych uczuć serca! która od dzieciństwa była moim snem najmiłszym; była bożyszczem, któremu w hołdzie niosłam wszystkie uczucia duszy mojej, wszystkie chwile życia. A to dla tego, aby po tylu latach ciągłych trudów, powiedziano pochwa-

liwszy z początku : że „to dzieło jak na kobietę, jest dość gruntownie napisane.“ Choćbym umarła z pracy, powiedzą : to była kobieta, która jak na nią, nie źle pisała.“ O nie! taka sława nie może mnie zadowolnić, nie może zapełnić wszystkich chwil życia. Trzeba znaleźć jakiś cel pewny, jakiś przedmiot, aby życie nie było ciężarem. Wtém postrzegła Marja obok fatalnego pisma jakiś list z jej adresem, na który pierwiej nie zwróciła uwagi. Był to list od Wandy. Umieszczę go tu zupełnie.

Droga Marjo!

Od rozłączenia się naszego w pensji, pierwszy raz piszę do ciebie, boś ciągle była albo za granicą, albo w Warszawie, a nie miałam twego adresu. Teraz się dowiedziałam że już od dwóch lat zamieszkałaś w Litwie, w twoim Zabrzezinu. Niedobra przyjaciółko,

zupełnie o mnie zapomniałaś. Może myślisz: że do takiej jak ja wietrznicy nie warto pisać. Otoż moja Droga całkiem się odmieniłam. Poznałam niedorzeczność dawnego mego postępowania, popracowałam trochę nad sobą i dziś zacisze domowe, wypełnienie moich obowiązków, obowiązków żony, matki i gospodyni, stokroć więcej przynosi mi szczęścia, aniżeli niegdyś, najświetniejsze balc. Nic nie wiem o tobie, droga Marjo. Może twoje marzenia zamieniły się w rzeczywistość. Moje, chociaż uleciały jak dym, wcale ich nie żałuję bo jestem szczęśliwa. Czekam na kilka słów od ciebie. Zawsze Twoja Wanda. Z.

Nie wiem jaki wpływ miał na umysł Marji list Wandy, to tylko pewna: że się jej czoło wypogodziło, że chodząc prędko po pokoju, coś mówiła do siebie o jakimś biednym Karolu, wiernym, stałym w ciągu tylu lat przyjacie-

lu... O obowiązkach obywatelki... O polepszeniu bytu pocziwych chłopków, i o czémś więcej... i o czémś więcej...

V.

We dwa lata później w tym samym gabineciku, wszystko było jak uprzednio. Takiż natłok papierów i książek, tylko przybył sprzęt jeden. Pod oknem stały krosienka, a na nich napięta poduszka, mająca zdobić Oltarz kaplicy. Ale gdzież jest nasza Marja? która przed dwóma laty, nigdy się ztąd ani na chwilę nie wydalala! Pójdźmy jej szukać. W przyległym pokoju koło sofki na której leżała książka, (zdaje się Athenaeum) pęk kluczów i jakaś robotka ręczna, stała kolyska, a w niej uspięte półroczne dziecię. Dalej przy oknie siedział przystojny, trzydziesto kilku letni mężczyzna, zajęty przeglądaniem papierów, świeżo z poczty przywiezionych. Jeden z nich zda-

wał się go zajmować szczególnie, bo kilkakrotnie go odczytywał z miną zadowolonia. Wtém weszła Marja. — Owoż wracam z moich gospodarskich wędrówek, — rzekła, zrzucając z siebie futrzaną kardynalkę i kapturek z puszką. — A to Karolu z poczty? — Tak droga Marjo, właśnie czytam recenzję na twoją ostatnią powieść. — Recenzję, — powtórzyła Marja, — a w głosie jej widać było, że ten wyraz przykre w niej budził uczucie.

— Moja przyjaciółko! oddano ci sprawiedliwość, tak jak gdybym ja był twoim sędzią, — rzekł Karol. — Mężu mój, — odpowiedziała Marja, — jedna chwila twego szczęścia, do której się przyczynię, jeden uśmiech tego aniolka, — i pocałowała śpiącego syna, — błogosławieństwa wieśniaków, których byt ulepszyłam, osłodzą choćby najboleśniej-sze pociski recenzentów.

— 30 —

COŚ Z MOICH WSPOMNIENÍ.

PRZEZ

ADAMA KORSAKA



Czy wy pamiętacie mnie jeszcze moi przyjaciele? pamiętacie w Wilnie te dwa moje pod Ostrą-bramą pokoiki? a w nich ten cały kawalerski nieład?...; Śmieliście się nieraz ze mnie, widząc zawsze tak porozrzucane moje książki na stolikach, kanapie, krzesłach, walające się na środku pokoju z pobitemi fajkami, cybuchy; drzwi w przedpokoju wiecznie roztwarte i wiecznie śpiącego mojego sługę nie budzonego ode mnie, jak tylko w ważnej jakiej potrzebie, żeby drzwi zamknąć przed

dłużnikiem, wpaść na koncept pożyczania gdzie pieniędzy, nałożyć wam fajkę, nastawić samowar, a potem znowu spać sobie. Równaliście mnie wtenczas do jakiegoś Filozofa starożytności, co to mieszkając od ulicy, nie kazał nigdy drzwi swoich zamykać, żeby każdy przechodzień mógł zawsze widzieć co się u niego dzieje...

Szczęśliwe to były lata, moi koledzy, kiedyśmy razem siedzieli przy tym oto stoliku, kiedy to z tego samowaru buchala para, kiedy dym fajczany rozścielał błękitny obłok przed nami; a w nim, jakby z pijanej hofmannowskiej wybiegłe głowy, widzieliśmy jak jego tu fantastyczne przelatywały mary. Bo wówczas nic dla nas martwem nie było, bo wszystko tak umiała ożywić nasza młodzieńcza wyobraźnia! Żyliśmy w świecie ksiąg, czytaliśmy Gesnera, wierzyliśmy w Gesnera, biegliśmy za nim myślą naszą

w spokojną wiejską ustron nad brzeg kwiecisty strumienia, powitać tam jego pięknieszczą nad kwiaty pastérkę... Żyliśmy wesóło, bez jutra, ostatnim gotowi z sobą podzielić się groszem, pieniądz palit nam rękę, rzucaliśmy go, a usłuźny traktjernik brał go tak śmiało jak kuglarz rozpaloną sztabę żelaza. Brała go teatralna benefisantka, dziękując spojrzeniem, uśmiechem, kilku słowami wyuczzonego komplementu w melodyjnym pieszczonym głosku. O! za ten uśmiech, za ten głossek, nie tylko ten lichy pieniądz, ale jest-że co, czegobyśmy wtenczas nie dali? I któż od nas nie brał? Komuż nie dawaliśmy? rzucaliśmy tak pieniądzmi jak ów, co niebaczný rzuca uczuciem, jakby się nie miało nigdy wyczerpnąć. Świat jak pięknie uśmiechał się do nas, w kwiatach nie było cierni, młodość nasza była to nieskończoność, myśl nasza była wszędzie, była wszyst-

kiem, robiła nam wszystko, co chcieliśmy. Nie byłże z nas kto w myśli swojej Bajronem? Nie odbierał-że jak ów Sarbiewski, lauru w Kapitoljum? Nie zasiadał-że rektorskiego krzesła, jak Jan Zajmojski w Padwie? Nie był-że kto w doktorskim birecie i nie dziwił-że swoją nocą nauki, tylu cudzoziemców, jak ów nasz Kardynał Hozjusz na trydentskim Soborze? Wszystko to była wyobraźnia nasza młodzieńcza, myśl nasza jedyna nasza własność, jedyne dobro!

Jakże ożywiona była rozmowa nasza? jakże była rozmaita? jak od ważnego przedmiotu jakiej nauki, chwilowego zastanowienia się nad jakimś matematycznym zadaniem, uniesienia nad wzniosłością poezji, aniśmy dostrzegli jak prędko z tej umysłowej podróży schodziliśmy do świata zmysłowego. Wtenczas to i milczący dotąd nasi koledzy zaczęli śmiejąc się

rozmowę; ten swoje miłostki, ów wczorajszy wieczór, a ten — „ach! gdybyś „to był wczoraj w sapieżyńskim ogrodzie, widziałbyś kobietę! nie, nie „kobietę, ziemskiego, szesnastoletniego tylko aniolka, w błękitnym kapelusiku, z pod którego błękitne wyglądały oczka. O, te oczka nie świeciły „u nas jeszcze ani na balu, ani na maszaradzie, ani na przechadzce, nigdzie. Są to oczka nowe, nie widziane, jak ta nowa na niebie światłość, „którą mi wczoraj przez szkło swoje „wskazał Professor Astronomji. Jestem „zabity, zakochany, jestem szalony! „Jutro przekupię lokaja, dowiem się „kto ona, gdzie mieszka, gdzie bywa „w kościele? Niech tylko spojrzy na „mnie, niech coś z jej oczu wyczytam „dla siebie, natychmiast napiszę do „niej wierszami, bo czuję teraz że „jestem poetą! a jeśli ten zapal ostygnie, to ty mnie napiszesz, u ciebie nie

„zbywa na natchnieniu, wszak tyle
„razy pisałeś do nie jednego i nie do
„jednej. A jeśli ona mi odpowie, bę-
„dę wam czytać jej list.“ Śród tych
miłośnych wykrzykników nie postrzegł
jak szklanka z herbatą wypadła z rę-
ki, a mój sługa się ocknął, przetarł o-
czy i zaczął łajać pod nosem: — nie
dosyć że panicz wszystko tłucze, drze,
a to jeszcze...

O jakże często echo tych dwóch
małych pokoików rozlegało się śmie-
chem moich wesołych towarzyszy?
Śmiałem się i ja wtenczas, rozumia-
łem że tak zawsze śmiać się będę, że
zawsze będę z wami! Nie widziałem,
nie chciałem nic widzieć przedemną,
nie chciałem żyć, jak tylko w świecie
co sam stworzyłem, nie znać ludzi
jak tylko was, nie mieć więcej, jak
dwa te moje pokoiki, te moje kwiat-
ki, toż samo serce, te myśli, to tylko...
nic a nic więcej!

Dzisiaj daleko od was moi przyjaciele, na wsi, przy mojej nieodstępnej fajce, którą tenże sam spiący na kłada sługa, a widząc smutną twarz pana, nie śmie wtrąceniem słowa, jak kiedyś, przerwać mojego zamyślenia. W tej chwili piękny wiosenny wieczór, — słyhać w ogrodzie śpiew słowików, odmykam okno, niechaj ich śpiew swobodnie tu dolata, bo ten śpiew przypomni mi jęj głosek. Może jak ona zaśpięwają mi też samę piosnkę naszego Bohdana!... Ta łąka kwiatów przed mojem rozesłana okiem szle mnie tak woń swoją, jak ta ręka żegnająca kochanka szle mu pocałunek daleki. Kiedy te gwiazdy zaczynają przebiegać po niebie, pytam, może z nich która biegła razem z okrętem przyjaciela mojego, świeciła przed nim na wodzie okiem dalekiej jego kochanki, biegła razem z jego myślą. Ta druga co to tak chmurna,

w najciemniejszej stronie nieba, może wróciła teraz z pogrzebu, może świeciła nad grobem którego z mych druhów? powiedzcież mi moje gwiazdki, jest-że choć jeden z moich przyjaciół szczęśliwym! Los jakże różnie nami rzuca moi przyjaciele! jak wiatr co dwa porwawszy listki z jednego drzewa, jeden na kwiecistą dolinę, drugi na stepy zanieś, tak i my z jednej pochodząc ziemi rozproszyliśmy się po całym świecie. Dziś ten, co się tak z zapalem oddawał naukom, zbierał wiadomości, nie jedną noc bezsen- nie przesiedział nad książką, dziwacz- nym zrządzeniem losu poszedł zupeł- nie przeciwką drogą upodobaniu swo- jemu. Ów drugi junaka, co to dziec- kiem już na żołnierza zarywał, co od książek uciekał jak szatan od ładnej pani Twardowskiej, dziś niebożatko w Seminarjum nad Teologją. A tego czy pamiętacie wesołego panicza, co

z nami słuchał kursu Ekonomji politycznej, którego by za dziesięć lat sam nawet Saj nie wiem czy nauczył wartości pieniędzy, dziś w kilka miesięcy daleko lepiej naukę tę pojął od ładnej żoneczki, niż w dwuletnim kursie teoretycznego wykładu.

Jak los częstokroć przeciwną skłonnościom ludzi prowadzi drogą, tak czas i wypadki zmieniają w nim też same skłonności. Tak, czas, wypadki zmieniają wszystko: wiadoma to aż nadto i doświadczeniem sprawdzona prawda. O jakże ten czas musiał i was odmienić? Rozstaliśmy się z sobą dziećmi i dziecinne, wesołe wasze twarze zostały w mojej pamięci. Jakżeśmy żegnali się z sobą? pocałunek nasz ostatni, ściśnienie dłoni, a to ostatnie „bądź zdrów“ jakimże powiedziane głosem? jak te słowa pochodziły z duszy, z prawdziwego uczucia! Teraz kiedyście zaczęli żyć na świecie, pozna-

liście świat, z latami niestety! zaczęliście może wyrozumiewać treść tego życia. Poznaliście wartość złota, tego żądź ludzkich bóstwa, dla którego uśmiechu można się zaprzeć prawdy, można uspić sumienie? zaczęliście teraz myśleć, rozszerzyliście granice waszych wiadomości, a możecie czuć przestali. *Quand l'homme pense, il cesse de sentir*, powiedział jeden francuzki Filozof. Może was nieszczęścia zziębiły, może nie macie już w waszém sercu miejsca dla przyjaźni, kiedy was nieraz przyjaźń zawiodła? Powiedzcie, czyście wy mnie zapomnieli przyjaciele? O, jeśli kto umie zapomnieć spomnienia młodości, czas co razem przepędził w szkole, jednostajne zabawy, dziecinne projekta, rozmowy, jeśli może zapomnieć te dziecinne wrażenia, które nas wówczas zajmują i wiecznie w nas zostają; o, jeśli kto z was i pacierza zapomniał

co go nauczyła matka, to strzeż się
przyjacielu, twoje życie męczarnia,
uczucia węża, a świat cały dla ciebie
piekło !

Adam Korsak.

Graużyski.



POWIEŚCI MAŁOROSSYJSKIE

PANA KULESZY.

Przekład Zenona Fissa.



I.

O tém, z jakiej przyczyny wysecht Pieszewców Staw w Miasteczku Woroneżu.

Znajdował się niegdyś w miasteczku Woroneżu (w gluchowskim Powiecie) wielki staw, zwany *pieszewcowym stawem*. Był to staw jakich mało! Stawy: *Hudowiczów* i *Szramków*, ani w porównanie iść z nim nie mogły! Cały Woroneż przezierał się w nim jak we zwierciadle. Ale zapytaj dziś w Woroneżu — gdzie jest Pieszewców Staw!

I wskażą ci na rozległą dolinę, zarosłą łożą i oczeretem; a stawu dawno już nie ma, wysechł do dna. Nie ma wprawdzie w tém nic tak dziwnego, — bo czyż mało na całym świecie powysychało stawów i rzek całych! Dziś nikt wam, nawet z mieszkańców Woroneża nie wytłumaczy rzetelnej przyczyny tego wypadku, bo to się stało bardzo dawno, w owe jeszcze czasy, kiedy to miasteczko było obwarowane wałami i palami, z których dziś ocalały małe tylko szczątki przy Cerkwi Ś. Mikołaja, kiedy jeszcze sama ta Cerkiew nie była murowaną jak dzisiaj, lecz stała na tém miejscu inna, drewniana, a dokoła niej znajdowała się galerja z toczonemi dębowými słupkami. O tém więc, z jakiej przyczyny wysechł Pieszewców staw, wiedział wyłącznie jeden tylko Herszun, dziś już nieboszczyk, a który żył lat sto z górą i pamiętał tak dawne czasy,

o których dziś ani wzmianki prawie nie ma u ludu. Jedyńy to był człowiek ten Herszun! Gdy zacznie bywało rozpowiadać o dawno już upłynionych latach — słuchaj go tylko i słuchaj, spać się nawet nie zachce. A jakich-że on nie zwiedził krajów: był w Tureczyźnie, u Niemców, w Polsce, u plugawych Tatarzynów nawet: Krym był mu tak doskonale znany jak Królewiec i Głuchów, a w Donie kąpał się częściej, jak woronezkie chłopcy dziś w hudowiczym i szramkowym stawach. Nie ma co mówić: jedyny to był człowiek ten Herszun! Daj mu Boże odpoczynek wieczny. Z jego to ust miałem sobie opowiedziane dziwne zdarzenie, które wam chcę powtórzyć teraz.

Żył w Woroneżu stary Czumak Makar i miał syna Hryćka. Ten Hryćko, był to Kozak zwinny, przystojny, brawny. Zamyślił ożenić się: ojciec nie

sprzeciwił się tej chęci. Posłano swatów — wzięto ręczniki — i oto, zaraz po Wielkiénocy zabrzmiała muzyka na cały Woroneż. Z podwórca makarowej chaty zbiegł się lud ze wszystkich Parafji, ciekawy obaczyć czarnobrewą Natalkę, młodziutką żonę Hryćka, która po straceniu wianka stała się jeszcze piękniejszą jak była przedtém. A gdy odbyło się wesele i objechano wszystkich krewnych i druhów, — na tenczas Hryćko i Natalka zaczęły sobie żyć jak u Boga za drzwiami i ani się postrzegli, kiedy upłynął miesiąc.

Ale oto jednego dnia, w Niedzielę, Makar powróciwszy do domu od sąsiada, rzekł do syna.

—A co Hryćku, czas już przestać wylegać się w domu; trzebaby jąć się pracy. Uważaj tylko jak nasi sąsiedzi ciągną na zarobki. We Wtorek, skoro świt, cała nasza ulica ruszy do Krymu. A

nu-że i ty z nimi. Zarób sobie na nowe gospodarstwo. —

Poskrobał się Hryćko za uchem, wysłuchawszy tej przemowy, ale nie było nad czém rozmyślać długo: znał on dobrze swego ojca. I oto we Wtorek, jeszcze przed świtem, przed zorzą, a już Hryćko napawa swoje woły z cerkiewnej studni. Bydłęta ryczą, nie chcą pić zimnej wody; czują że daleka czeka je droga i rokują jakby coś nie dobrego. Zamyślony Hryćko powrócił na podwórze, gdzie już stały przygotowane do drogi czumackie wozy a parobcy w koszulach i szarawarach wysmarowanych dziechciem, krzątali się leniwie koło nich. Natalka ze łzami rzuciła się mu na szyję, lecz Hryćko, umyślnie przyjął oziębłe jej pieśczoły. Wtém matka odezwała się do niego. — Gdybyś ty mój synu zaczął przynajmniej do obiadu; umyła bym cisama głowę.... — Słowa matki za-

chwiały jeszcze bardziej sercem Hryćka, lecz on, żeby się nie poddać żalowi, odpowiedział:

— Matko moja, na co się zda Czumakowi stroić a ubierać się w drogę!... W drodze, umyją mię drobne deszczem, wysuszy jasne słońce — bujne rozczeszają wiatry!

— Tak Hryćku, tak! czego masz zostawać do obiadu, — dodał stary Ojciec. — Czy nie dla tego a żeby wrogi przeszli ci drogę i urzekli tve szczęście?... nie słuchaj bab Hryćku! Póki jeszcze to plugawstwo nie włóczy się po ulicach, ruszaj z Bogiem. — To rzekłszy powstał z ławy, zdjął zawieszony pod obrazami obrazek i włożył go Hryćkowi na szyję.

— Nie zdejmuj z siebie Hryćku tego obrazku. Błogosławiony Mnich, darował mi go w Kijowie. Zachowaj go od napaści, od morowej zarazy, od niedobrego wzroku. Dośćże, dość wam

już płakać—krzyknął stary,—zwracając się ku żonie i świekrze, które łkały tak głośno iż zagłuszały dawane przez niego rady. — Ludzie cieszą się, gdy wyprowadzają na zarobki a my oplakujem go, jakby już nieboszczyka. —

Hryćko ukłonił się ojcu i matce, objął ich i przycisnął namiętnie do pierśi swą Natalkę. Natalka z bezrozumnym zapamiętaniem uczepliła się jego szyi i tak łkając nie była w stanie pożegnać go słowy. Ona zapomniała o wszystkim i czuła tylko to, iż odrywa od siebie drugą połowę swego serca, że rozłącza się z miłym i pragnęła ażeby o jedną chwilkę przynajmniej przedłużyć to rozstanie.

—No, dość-że tych obejmowań,— rzekł ojciec surowym głosem. — Nie rozpaczaj Hryćko. Bóg nie jest bez litości, Kozak bez szczęścia! —

Stroskany, zamyślony Hryćko, wyjechał za kołowrót pośpieszając, by

dopędzić walkę, która ruszyła z miejsca jeszcze raniiej.

Wyprawiwszy w drogę męża, Natalka oddała się żalowi i nieutulona oplakiwała go, jakby już umarłego. Dóm cały zdał się być dla niej pustym. Jeśli się nawróci do komory, by prześłać łożę, tam myśl o Hryćku, nalega na jej serce.

Postil biła, stina nima,
Ni skim rozmowlaty!

Ciężko, duszno jej w chacie. Natalka wychodzi do ogrodu i rzuca się na trawę lecz i tam sieroce jej serce nie znajduje w niczem pociechy. Jeśli przysłoni głowę do czeremchy i zacznie rozwodzić przed nią swe żale, czeremcha szumi tylko i chwije się i jej liście szepczą coś niezrozumiałego dla niej; lecz drzewo nie podziela cierpień człowieka, — ono prawi o swoim — ma swoje dumy! Ale gdy przysłoni-

wszy główkę do szerokiego klonowego liścia, zakukuje sierota—kukułka, albo samotna turkawka zaturczy na płaczącej brzozie, — zdaje się natenczas Natalce iż te skrzydlate żyjątka czują z nią wspólnie; tęskne ich głosy obudzają całą jej uwagę i wtedy jakby lżej jej bywa nieco na sercu.

Lecz oto pełny xiężyc zabłysnął jasném światłem na Niebie. Jego promienie rozlały się na dalekie pola, na cieniste sady i wody ciemne; — ale wszystko milczy dokoła, głucho na całej ziemi, a to tak głucho, iż żaden nie czyrknie ptaszek, nie zaszeleści listek, nie pluśnie na wodzie senna kaczka. Nastąpiła północ: całe wówczas zasypia przyrodzenie a budzą się niewidome siły. Wówczas w ciemnych sadach tarzają się po zimnej rosie, łażą po drzewach i pełzają na promieniach xiężyca niechrzczone dzieci. Na smętarzach, świeżo pogrzebani

którym żal jeszcze tego świata, wychodzą z dusznych swych mogił, kołyszą się jak w kolébkach w całunach swych na krzyżach i huczą pełnym głosem podziemne pieśni, a głos ich tak jest dziki, iż słuchając go blednieje się w podniebieniu. Dokoła stawu, po wilgotnych brzegach, błakają się jakieś tak słabe i powiewne cienie, że nie mogą wydać w powietrzu najmniejszego dźwięku od swego głosu; przesuwają się one to w tę to w ową stronę, nakształt błędnej chmurki tumanu; radują się iż świeci się, którego karmią się promieniami, radują się iż nie ma wiatru, coby je rozwiał na pola i bajraki.

Nie spi i Natalka w tę północną godzinę. Jak cień bleda, siedzi na progu chaty, wprost przeciw promieniom słońca i tęskni, дума o swoim Hryćku.... — Gdzież-to on teraz? Może zachorował w cudzej stronie i

nie ma komu zapytać go co mu dolega? Może go spotkało jakie nieszczęście i nie ma nikogo coby go pocieszył w tym smutku?.. O! gdybyś ty mój miły przyleciał do mnie jasnym sokołem lub siwym orłem! O! przybądź do mnie mój miły Hryciu! Przybądź choć na chwilkę.... rozpędź smutek z mojego serca! —

W tém nagle stanął przed nią Hryćko.

— Czy to ty Hryćku? — krzyknęła Natalka zadrżawszy cała.

— Ja, ja to moje serce! tylko milcz, milcz na miłość Boga!

— Dla czegoż mam milczeć? Powiedz mi mój gołąbku siwy: jakim sposobem przyniósł cię Bóg do mnie?

— Opowiem ci wszystko lecz nie teraz. Milcz na miłość Boga; nie wspominaj nawet przed nikim żeś mię widziała — a to zginęliśmy oboje! —

Natalka uspokoiła się i zaczęła go

opatrować od stóp do głowy. Ale to on, tak, on w istocie — jęj to Hryć! Było jej i radośnie i czegoś straszno, wtém Hryćko przycisnął ją do serca i miłość silniej jak bojazń przemówiła do niej.

Od tego czasu Hryćko o każdej północy przychodzi do komory Natalki a opuszcza ją zawsze przed świtem. Tak upłynął cały tydzień, ósmego dnia powrócił z Krymu ich sąsiad, co, wyjechał pierwiej od Hryćka i przywiózł Natalkce od niego pokłon i podarunek.

— Gdzież on jest teraz? — zapytała zmiészana Natalka.

— Zostawiłem go jeszcze w Krymie, lecz niebawem, powróci już do domu.

Przyjęła Natalka podarunek lecz smutna niespokojność owionęła jej serce.

— Ktoż-to więc nawiedza mię? — pomyślała w duchu. — W tém wszystkim kryje się coś niedobrego! Myś-

lala, myślała długo, a nakoniec wyznała wszystko przed matką. Staruszka udała się zaraz do wróżki.

Wróżka potrząsała głową i usiadła z opartymi na stół rękoma. Serce matki ledwie nie zamarło w tej chwili.

— Złe się dzieje, — rzekła wróżka. — Czy wiesz moja gołąbko co to wszystko znaczy? Oto, że wasza Natalka zbyt tęskniła za Hryćkiem a tęskniła tak mocno iż ruszyła z miejsca jego duszę i przywołała ją do siebie. Lecz nie ma się czego dziwić temu! to się zdarza często. Czujną jest dusza człeka; wie ona co się za sto wiorst dzieje i często się zdarza iż w tę samą chwilę gdy człowiek poddaje się radości, daje mu znać, że spotkało go nieszczęście i zasmuca go nagle. A jeśli dwie dusze poddadzą się zbyt niżej tęsknicy w rozłące, natenczas ta, której miłość i tęsknota są silniejsze, przyzywa do siebie drugą. Oh, nie zawsze to prze-

chodzi bez nieszczęścia! Dusza żywego człowieka jak i dusza nieboszczyka, nie lubią zarówno, by je wyzywano, lecz postaram się pomódz wam ile to jest w mej mocy. My odpędzim od Natalki duszę Hryćka. Jeśli ta powróci do swego miejsca i pozostanie tam spokojną — będzie to łaska Boża! Lecz gdy nie ulubi już Hryćka, zacznie natenczas latać po świecie aż wywoła do siebie duszę Natalki, aż doprowadzi ją do zguby. —

Staruszka, matka Natalki, siedziała ni to żywa ni martwa i nie słyszała prawie rad wróżki, jak ma postąpić w tém zdarzeniu.

Natalka, nauczona przez wróżkę, co jej czynić wypada w razie przyjscia do niej Hryćka, następnej nocy usiadła na progu chaty ze zwróconém do komory obliczem i jęła rozczesywać wielkim grzebieniem, gęste czar-

ne swe kosy. Niebawem, zaszeleściły za nią stąpania Hryćka.

— Coż - to robisz? — rzekł do niej niechętnym głosem.

Natalka milczy.

— Natałko, przestań to robić — to mi bardzo nie miło!

Natalka ani słowa, lecz nie przestaje czesać swoją kosę.

— Zaprzestańże, mówię ci! — rzekł Hryćko tak gróźnym głosem iż grzebień omal nie wypadł z jej ręki.

Ale Natalka milczy jeszcze. Hryćko uderzył ją po głowie i zniknął. Nie zjawił się on już następnej nocy; nie przyszedł na drugą. Natalka uspokoiła się tém nieco.

Trzeciego dnia, przed obiadem, siedziała ona na przyzbie. Nagle zleciał jastrząb i pochwyił kurczę. Natalka wybiegła za nim za wrota. Jastrząb, jakby umyślnie podleci nieco i zapadnie a Natalka ugania się za nim. Tak

podlatując zwabił ją nad brzeg stawu i usiadł na palu wystającym z wody, nie dalej jak o pięć kroków od brzegu. Natalka rzuciła się za nim do wody lecz gdy zaszła po pas, nagle zanurzyła się cała i czarne kosy tylko spłynęły na powierzchnię.

Serdecznie oplakiwała matka swoją Natalkę, chodząc nad brzegiem, załamując ręce i przeklinając wodę, która ją pozbawiła życia. A lzy bolejącej matki mają moc taką, iż wypalają zroszoną niemi trawę, wysuszają wodę, kamień nawet rozsypuje się od nich na drobne części. Łzy to matki zdziałały iż Pieszewców staw wyschł do dna, a natomiast na całym rozdole dzikie porosły zielska. Smutnie chwieją się nad nim kłosa wysokiego oczeretu i głucho szumią po gęstej łozie wiatry. Straszno, powiadają, chodzić podczas nocy około tego miejsca.

II.

*O tém, jakie miał zdarzenie Kozak Burdiuh,
podczas Zielonych Świątek.*

Nadeszły Zielone Święta. Jak ho-
ża panienska, przystroila się ziemia.
Sady oblały się wonnóm mlékem; o-
grody i pola zalśniły kwieciem; ptaki,
przez cały dzień Boży, brzmią peł-
nym chórem w powietrzu, przepelnio-
ném wonią roślin i kwiatów.

Nie podobna wyrazić jak u nas
ślicznie, jak u nas wesoło podczas
Zielonych Świątek. Wszystkie chaty
i dwory, osadzone są natenczas doko-
ła klonami, brzozami i lipą. To się
zowie u ludu *kleczeniem*. Wszędzie pod
tę porę umieciono — wymyto — jak
nie trza lepiej. Lubo ci gdy przejdiesz
ulicą. Dziewczęta wystrojone od Świę-
ta, jak pełny mak w ogrodzie — to
siedzą u progów chat gdzie bawią się

w *kremiachi* i powierzają sobie wzajem miłośne tajemnice, to wiją się jak tęczowe kółka, w chorowodach. A parobcy przebiegają ulice z muzyką—weselą się, tańczą. W którą nie spojrzysz stronę — wszędzie lud chędogi, przystrojony: Starzy Kozacy nawet, wychodzą w owe dni posiedzieć czas niejaki za wrotami, a to nie inaczej, jak przywdziawszy na się nowe świty, opasawszy się nowymi pasy, z wyłożonym po wierzchu świty białym od koszuli kołnierzem. Czyste, rozcieplone niebo — świeci, grzeje, ożywia całą ziemię. Chłodek i cień pod konarami czereśni i wiszeń, gdy z wierzchu wszystko się pali i ozłaca promieniami słońca. Dalekie lasy w tak błękitną przelewają się barwę, iż trudno jest poznać, czy to są lasy czy obłoki wsparte na krańcach ziemi. Lsniają się wody od promieni słońca a żaden wzrok nie jest w stanie wytrzymać

iskier, które trzęsą się na jej powierzchni. Słowem, nie podobna się napatrzyć na wszystko, tak wszystko pełne życia i cudu!

A gdy nadpłynie noc, orzeźwi się powietrze, niebo zaiskrzy się gwiazdami, z za-drzew wypłynie xiężyc, — wówczas znowu inny staje przed oczyma widok. Wówczas ulice i domy zdają się być też same lecz i nie te, wszystko przedstawia się jakby we śnie czy na obrazie. Oto tu cała jedna połowa Cerkwi błyszczy się wyraziście nakształt śniegu podczas mroźnej, miesięcznej nocy; tam kupami rozłożone sady rozwieszają ciężkie konary i grzeją na miesiącu okrągłe swe czoła; dalej znów, za rozwalonym młynem, od którego strzmią nagie tylko krokwy i niewyraźnie rysują się na tle nocy, coś sinieje i mdle rościela światelko. Daleko, daleko, ciągnie się to popielate pasmo; to staw — nasze wiejskie

morze. Ogromne siwe wierzby rozrosły się potężnie nad wodą, ostąpiły ją ciasnym kołem, przezierają się w jej nurtach, wieją porannymi тумany, kąpią się w wieczornej rosie i zanurzają w głębi senliwe swe konary. Z za ich ostępu widnieją gorzelnie, przez ich konary błyszczy się niekiedy światelko z okna, jakiej odosobnionej chaty a odbite w wodzie, igra na niej cudownym swym promieniem i wyobraża się w kształcie ognistej, zawieszonyj na gałązce miotły i bije na dół tysiącami rozstrzelonych iskier. Tymczasem xiężyc osrebrza zimne zwierściadło wody i powleka ją ciemniejącym błękitem.

W tak cudowne nocy, dzwięczne pieśni nie zaprzestają u nas brzmieć po wszystkich ulicach, odpowiada im echo z nad stawu i zdaje się, że to Rusalki wybrnąwszy z topieli, płasają po miesiącu i ludzkie przedrzeźniają głosy, nie-

kiedy z oddalonego końca ulicy nagle przebrzmi, przeleci głośny chór skrzypek z bębniem, a w ślad za nim przebieży hulający tłum młodzi. Jak chorowody nocnych duchów wiją się oni, płaczą, — zdaje się, że lecą, że płyną. Noc w takich zabawach przemknie dla nich chwilą; a gdy xiężyc wyrósłszy i zaczerwieniwszy się za noc, spuści się już nad tumanne wody i rozleje krwawe pasmo wzdłuż stawu, aż wtedy dopiero roz hulana młodzież rozchodzi się po domach, ażeby przespąć chwilkę i zaczerpnąć we śnie nowych sił do jutrzejszych zabaw.

Ludzie podeszli wiekiem mają równie swoje rozrywki, wprawdzie nie tak bujne lecz niemniej przyjemne dla nich. Wyszędłszy z Cerkwi, wstępują oni na moment do domu, by wziąć bochenek chleba i z tym, udać się w gościnę do krewnych, znajomych lub przyjaciół. Tam-to dopiero wesole

toczą się pogadanki, pobłyskują amarantem naliwki i wonną parą, napelnia powietrze *warenucha*. Tam często podochociwszy sobie, puszczają się w *Żórawia* w *Czeberiaczkę* i czego nie przemyślą wtedy! Chcąc opowiedzieć wszystko, byłaby to strasznie długa gadanina a ja dla was mam inną. Ja wam chcę opowiedzieć co się przytrafiło woronezkiemu Kozakowi Burdiuhowi podczas Zielonych Świątek.

Już to jest wiadomo każdemu, iż podług przyjętego u nas chrześcijańskiego zwyczaju, należy święcić Zielone Świąta wyłącznie cały tydzień i że praca dokonana w to Święto, nigdy nie przyniesie korzyści. Czy to jeden już był przykład iż piorun palił to siano które koszone i gromadzono w dni świąteczne! A pewnemu Kozakowi razu jednego w dzień Paleja zapaliły się na wozie kopy; ledwie biedak miał czas odprządz woły — inaczej,

pożegnałby się z niemi na wieki. Powiadają że żadna siła ludzka nie jest w stanie zagasić piorunowego ognia. Ale widać człowiek tak jest stworzony, że go nauczyć trudno: z jednego nie otrząsł się grzechu, aż patrz — już wpada w drugi! W prawdzie, odebrał już raz i Burdiuh karę za swoją świąteczną pracę. Jednego razu wiózł on w Niedzielę siano. I coż myślicie? oto, na samym środku drogi widzi przed sobą kałużę. Pogoda była trwała; deszcz padał przed tygodniem jeszcze; — ależ na co tu więcej: on sam jechał tędy przed godziną i żadnej na tém miejscu nie było kałuży! Nie było nad czém rozmyślać długo. Burdiuh wrócił złożył z wozu siano i powrócił już do domu po suchej drodze.

Ta jednakże przygoda wypadła mu skoro z pamięci, bo przeszłego roku podczas Zielonych Świąt umyślił zgromadzić skoszone przed Świętyma sia-

no. Otóż tedy zjadłszy dobre śniadanie złożone z pozostałych od wczorajszej wieczerzy pirogów i pampuszek, Burdiuh zaprzął do wozu parę koni (gdyż był Kozak zamożny) i ruszył do swego futoru. Aliści nad wieczór, gdy od powracającego już z pola bydła widać było pył za kołowrotem i słychać trzask bicza i głos pastucha, cała prawie Parafija w której mieszkał Burdiuh, została zdziwiona niezwyčajnym zjawiskiem. Burdiuh, co tak żałował zawsze używać nad miarę pary swoich koników, co tylko czasem puszczał ich wolnym kłusem, teraz leciał z kopyta, podskakując na cały arszyn od wózka i ćwiczył ich bez ustanku batogiem. Co sił leciały szkapypy a wózek tarabanił tak mocno, jakby dziesięć litewskich taradajek toczyło się razem z góry. Na taki widok, sędziwi Kozacy, siedzący w słodkiej beczynności za wrotyma i młodzi

chłopcy, igrający w kręgle po ulicy, wpadli na jeden domysł, iż Burdiuhowi musiało się zdarzyć coś niezwyčajnego; baby zaś już przebąkiwały, jakoby widziały Rusalki goniące trop w trop za Burdiuhem.

Powróciwszy do domu, Burdiuh smutny, ponury, usiadł w kącie stołu i zamyślał się. Syn jego, niewielki chłopaczek, dowiedziawszy się o powrocie ojca, wbiegł rzeźwo do chaty, na drewnianym swoim koniku, lecz postrzegłszy iż ojciec był w posępnym humorze, uciszył się nagle, postawił w kącie beznogiego konika i podszedłszy trwoźnie, milczał, zazierał w oczy, jakby chciał uprosić o dobrotliwe względy. Burdiuh wziął go na ręce.

— Wiele bat'ku pszczoły nanosiły miodu? — zapytało dziecię.

— Wiele, — odrzekł ojciec i zamilkł.

Zamilkło i dziecię, widząc ojca pograżonego w myślach.

Padł zmrok. Podano wieczerzę a gdy do zmysłów Burdiuha doleciał zapach barszczu, zaczął pozierać weselszém okiem i rzekł nakoniec.

— No, żono, teraz sam nie będę i dzieciom mym zakażę robić cokolwiek w Święto.—Potém zaczął opowiadać następną przygodę:

— Jadę sobie — prawil, — na futuro, minąłem już i ostrą mogiłę i krywonose noczwy, jużem wjechał do swego lasu, gdy napędzam dwóch ludzi. Patrę — poznaję w nich makowskich Kozaków — Jak się macie, — jak się macie. Słowo po słowie, anim się ja postrzegł gdy dojechaliśmy do samego futuro i koń uderzył ohłoblami o wrota. No, wszak ugościć cudzego człeka godzi się. Podniosłem im po czarce nalówki i uczęstowałem miodem. — A jam oto przyjechał zgromadzić, — rzekłem, — z pasiecznikiem mym siano. Chociaż to wprowadzie dziś jeszcze Świę-

to — ale Bóg przebaczy. Taka praca a próżnowanie — wszystko prawie jedno. — Właśnie do rzeczy, — odezwali się Kozacy. Nie mamy co robić dzisiaj w domu, więc pomożem wam w waszej robocie. — Dobrze. — Jeżeli się do pracy. Robotą postępuje jak nie trza lepiej; kopice rosną jedna po drugiej. Nad czémby trzeba pracować dzień cały, to u nas stanęło za godzinę. Zastanowiło mię to jednakże mocno. Co za dziwo? Ręce, zdaje się, same przez się uwijają z robotą. Spojrzę na Kozaków: Skoro który by raz zaczepi grabiami — patrz — stanęła kopica! słowem, daleko jeszcze do wieczoru, a my już kończymy robotę. Widząc to kazałem pasiecznikowi gotować kaszę. Aliści nie uspiałem obejrzyć się, gdy widzę siano złożone w stertę a dziad zdejmuje już kociołek z trójnoga. Co za licho! pomyślałem. Czy to mi się tylko tak zdaje, czy tu do-

prawdy wmięszalo się coś niedobrego. Ale oto moi gromadzielnicy podeszli do kociołka i zaśpiewali piosnkę. Wtém zdało mi się iż cały las zaczął śpiewać z nimi. Brzozy zdawały się szerokiemi kołysać konarami i cienkim wtórować głosem; dęby zaśzumiały basem a sosny nadąwszy się szypialy tylko. — Co to jest? słuchajcie! mówię do moich gromadzielników, wskazując na las. — Wiatr!— odpowiedzieli mi i zaśmieli się głośno. I w téjże chwili rozsypały się śmiechy po dalekim stepie tak głośne, jakoby cała gromada Kozaków zaśmiała się razem. Wtém nagle upadł tuman od mojej głowy i wszystko na com patrzył zdało mi się być zwyyczajném jak zawsze. Wypiliśmy po czarce i zasiedli do podwieczorku. Wtém znów oczy moje powlekły się czémś takiém, iżem patrzył jakoby przez sito. Przywidziało mi się iż drzewa wystąpiły z miejsc swoich, ostąpiły

nas do koła, ponachylały wierzchołki i zaglądały do kotła. Spojrzę na Kozaków — aliści na ich miejscu siedzą jacyś nieznajomi ludzie w wielce dziwacznej odzieży. Powiedziałbym, że Moskale — lecz nie Moskale; nasi — lecz i nie nasi; niby coś tacy jak radyczewscy Niemcy — ależ-bo i nie oni! Tamci jakkolwiek dziwaczni, zawsze przecież podobni do ludzi, a ci — Bóg wie do kogo! Natenczas już objął mię strach cale nie żartem: powstały na głowie włosy, skoczyłem jak szalony i zdało mi się, że wszystko co mię otaczało, skoczyło w ślady za mną i chwyciło mię za poły. Już tego nie pomnę jaki m sposobem dopadłem wózka i ruszyłem z miejsca. Pędziłem bez pamięci po pniach, po korzeniach, gdy oto raptem, zachmurzyło się niebo, przez drzewa zaświecił xiężyc i zabłyszczały gwiazdy. Po lesie, coś wyje coś płacze, chwieją się drzewa jak trzciny, zmrużywszy więc oczy pędziłem co si-

ty, moje konie, ale pomimowolnie widziałem jak Rusalki czepiały się samych wierzchołków brzoź, zawieszały się na długich konarach, hojdały się, stękały i z dzikim śmiechem padały na drogę pod konie. Konie lecały co im sił staje: już należałoby dawno wyjechać z lasu, ale droga jakby się przedłużyła we dwójnasób. Nakoniec, blask olśnił moje oczy, — przejrzałem i Woroneż leżał tuż przedemną. Słońce już było nad zachodem; na ulicach mnóstwo ludu; — wpadłem na podwórzec i jeszcze nie mogłem przyjść do siebie. —

Żona Burdiuha przez ciąg opowiadania siedziała zamyślona, ze spuszczo-
nym wzrokiem i dziwiła się tej całej przygodzie. — Ach — straszno! rzekła nakoniec i podjąwszy wzrok postrzegła się iż została samotną w izbie. Drewniane talerze, chleb i łyżki, leżały rozrzucone na ziemi; kaganiec mdle roz-

rzucił światelko i gotów był zagasnąć co chwila; piec, ściany, okna, pokryły się czerwoną łuną i drżały w jej oczach, a przerażająca ciemność czarniała przez otwarte drzwi w drugiej chacie. Burdiuhowę przejęło na wskrós przerażenie i zimno: krzyknęła i wypadła na podwórzec. Ktoś w tej chwili spotkał ją i pochwycił za rękę zapytując:— Czego tak krzyczysz kumo?— Żona Burdiuha poznała swą sąsiadkę, odpowiedziała jej wszystko i zaprosiła się do niej na noc. Sąsiadka rozpytywała ją długo o wszystkich przygodach, dziwiła się wszystkiemu, nakoniec rzekła:— Posłuchaj mię siostró, mój mąż dziś pijany i nie da pokoju ani mnie ani tobie; jeśli więc chcesz, wleż na poddasze, tam znajdziesz pościel i zasnąsz spokojnie; później, może i ja przyjdę do ciebie. Burdiuhowa wlaźła po drabinie na górę, położyła się i zasnęła prędko. Gdy już zaczęło świtać,

zdało się jój przez sen iż ktoś płacze. Jakież było jej zadziwienie, gdy otworzywszy oczy postrzegła iż siedzi na wiśni w swoim sadzie a pod drzewem płacze małeńki jój synek i przejęty porankowym chłodem, drży cały.

Słuchajcież teraz co się podtenczas przytrafiło Burdiuhowi. Gdy ciągnąc opowiadanie swoje, doszedł do tego, jak Kozacy przemienili się w jego oczach na nieznanomych ludzi, w tęż samą chwilę przywidziało się jemu i synowi, iż ciż sami nieznanomi siedzą za stołem między nimi; Burdiuh więc z synem ze strachu wypadli z izby. Ale co dziwna bardziej, to, że Burdiuh nie dopowiedział o Rusalkach i następnych swych przygodach gdy tymczasem żona jego powtórzyła mu to wszystko z najmniejszymi szczegółami nazajutrz. Wypadłszy więc bez czapki na ulicę, długo wahał się Burdiuh, jak miał postąpić z sobą? stra-

chał się wrócić do domu a wstydał, pójść do kogo bądź na noc i rozpowiadać o swoim przerażeniu. Wtem ktoś go uderzył po ramieniu.

— Jak się masz Kumie!

— Kondrat? a! jak się masz!

— A dokąd toś się tak rozpędził?

— Et — dokuczyło mi siedzieć w domu; chciałem pójść do kogokolwiek, lecz sam jeszcze nie wiem co począc, — mówił Burdiuh starając się drżący głos odmienić na spokojną mowę. Kum zdawał się niezważać na to iż Burdiuh nie miał na głowie czapki.

— Chodźmy do mnie, rzekł, wszak dawno już jakeś był u mnie.

— A dobrze — chodźmy odpowiedział Burdiuh, ciesząc się w duszy z zaprosin.

I poszli. Burdiuh po chwili uspokoił się i śmiał się swobodnie gdy Kum zaczął opowiadać o Litwinach widzianych przezeń za Desną, gdy wo-

ził na sprzedaż zboże do Nowogródka. Tymczasem, zawczasu już wyobrażał sobie z jakimśto zadowoleniem wychyli u Kuma kufel warenuchy, a może jeszcze zje wieczerzę. Noc była jasna, księżyc świecił wprost nad głowami rozsypując srebrne strumienie światła na sady i wybielone chaty. Wędrownicy nasi postrzegli przed sobą groblę; za groblą połyskiwał staw; lecz oto i chata kuma. Wchodzą we wnętrze: oświecona — pełna ludu — i muzyka brzmi głośno. Znany w całym Woroneżu skrzypek Kowtun, skoczynego zacina Kozaka, przechyla głowę to w tę to w ową stronę, przyświstuje, przymawia do taktu. Starsi, potężnej tuszy ludzie, wzięwszy się w boki, z poważną miną przebierają nogami i to w tę, to w ową stronę wysuwają plecyma; bywa też iż dzielniejsi odbiją hołubca i puszcza się w przysiudy, gdy krasnolice molody-

ce, przystrojone w złociste oczepki, przechylają się w tańcu jak kaczki z boku na bok, występują naprzód, wstrząsają ramionami, dzwonią dukaczami i monistem i pobrzękują dźwięcznymi podkowami.

Burdiuh tam przyjętym był od serca. Gospodyni domu uczęstowała go zaraz naliwką a przy wieczerzy warenuchą. Rozweselił się dopiero nasz staruszek i zaczął pleść tak pocieszne *balandrasy* (*) że u młodych rozpinały się haftki w jubkach od serdecznego śmiechu a Kozacy co chwila chwyтали się za pasy. Po wieczerzy, Burdiuh pierwszy puścił się w *ruczko-wuju* (**) a do pary wybrał sobie nie już prostą babę, lecz pono samego głowy córkę.

Minęła północ a hulanka trwała

(*) Dykteryjki—smieszna, pstra gadanina.

(**) Taniec.

jeszcze. Burdiuh zaczął uczuwać iż głowa jego niepewnie trzymała się na karku. Czas zaprzestać tańcom gdy już nie służą nogi. Siły starczyły mu tylko iż mógł jakokolwiek siedzieć na ławce i wychylać z kolei warenuchę. Do koła zebrały się goście i nuże w pogodankę to o tem to o owem. Zkąd to pochodzi tytuń? jak czort uganiał się za wilkim i jak Cymbalista, kozak z Łokutowa, biegał całe trzy lata wilkołakiem.

—Eh, co to takie gawędy,—rzekł Burdiuh, postawiwszy na stole kufel warenuchy i ocierając wąsy. — Ot sztuka, więc prawda że sztuka! a to nie dawniej jak w dniu dzisiejszym zdarzyła się ze mną. No, niech nie doczekam dnia Bożego, jeśli mówię nieprawdę.

I to rzekłszy położył na sobie znamię krzyża... w tém nagle goście, muzyka, warenucha, słowem wszystko co tylko było przed jego oczyma, znikło

w jednem mgnieniu. Patrzy Burdiuh i coż? oto nieopodal od niego stoi młyn wodny; sam on siedzi na palu; do koła otacza go woda; lekki poranny powiewa wietrzyk, „ulotna para zawieszona nad wodą, a po drugiej stronie grobli, rumienia się i kolorują wody stawu odbijając rozjaśnione niebo wschodu. Okropnie! Zachwiej się tylko na włos jeden. . . i niechybnie zlecisz do wody; a pod pływem, powiadają, nie zgruntowana otchłań! szczęściem dla Burdiuha, niedaleko od młyna, między wodnym burzanem, pływał rybak Bożko.

—Ej — ratuj przyjacielu! — zawołał doń Burdiuh.

— Co za licho! zdaje się Fedor Burdiuh? — mówił Bożko podpływając czółnem. Swacie, jaki cię djabeł, niech cię to nie obraża, wzgramolił na to brewno?

— A już to oczewiście, że nie kto

inny, ale szatan spletał mi takiego figla,—rzekł Burdiuh. Spuścił się do czółna i przybił do brzegu.

Po tém wszystkiém, mówcież teraz proszę, że zły duch nie może wodzić za nos chrzczonego czleka? A wszystko to pochodzi stąd, iż ludzie nie święcą dni Świątecznych i nie żyją po Chrześcijańsku.

Koniec Tomu drugiego.

SPIS RZECZY
w Tomie 2 zawartych.



I. Izabella Gógrska , przez <i>Jana ze Śliwina</i>	1.
Fabrykant , Komedia we 2 aktach, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	35.
Rozważanie nauki obyczajow czyli Moralności, przez <i>X. Z.</i>	157.
Marzenia i Rzeczywistość, przez <i>Karolinę Swarackę.</i>	178.
Cóż z moich wspomnień , przez <i>Adama Korsała</i>	198.
Powieści Małorossyjskie pana <i>Kuleszy</i> , przedkład <i>Zenona Fisza</i>	209.



WYKAZ
W TOMIE 2 KSIĄŻEK

1. Wykaz... .. 1

2. Wykaz... .. 2

3. Wykaz... .. 3

4. Wykaz... .. 4

5. Wykaz... .. 5

6. Wykaz... .. 6

7. Wykaz... .. 7

8. Wykaz... .. 8

9. Wykaz... .. 9

10. Wykaz... .. 10

11. Wykaz... .. 11

12. Wykaz... .. 12

13. Wykaz... .. 13

14. Wykaz... .. 14

15. Wykaz... .. 15

16. Wykaz... .. 16

17. Wykaz... .. 17

18. Wykaz... .. 18

19. Wykaz... .. 19

20. Wykaz... .. 20



N. P-T-501